Nr. 15. **12. Czerwca** **1860.**

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

JĘZYK I NAUKA.

II.

Słowa wyrażające myśli nasze stanowią nie tylko szatę tych myśli. Myśl i słowo zrastają się w jedną całość; mowa staje się treścią. Myśl tak długo jest mglistą, nieokreśloną, póki nie znalazła wyrazu sobie odpowiedniego. Ktokolwiek rzeczy jakiej jasno wyrazić nie może, jasno tej rzeczy nie pojął. Trzeba być panem języka aby mieć pojęcia czysto określone. — A czemże jest nauka, jeśli nie czystszem, jaśniejszem, ściślejszem określeniem pojęć naszych? Jest ona światłem, które nam na jaw wyprowadza formy przedtem zlewające się i łudzące. Przymuszajcie młodzież do kształcenia się w języku obcym, którego nie jest panem, a wnet spostrzeżecie, że pojęcia jej skoszlawieją, że się spaczą pod ciśnieniem formy obcej, którą przywdziały, że umysł przywyknie do myślenia niejasnego — że przywyknie do słów czczych bez treści, do chaotycznych myśli bez słów. — Uczyć nas w języku obcym, jest to przyświecać nam latarnią zakrytą, światłem ku nam obróconą. Widzimy wprawdzie światło jaskrawe, ale przedmioty które nam odkryć ma, nikną dla olśnionych oczu naszych we własnym jej cieniu. Nauczymy się może jako tako języka — obcego, treść sama nauki dla nas najczęściej stracona.

Po ukończeniu nauk młodociany umysł, tęsknący za pojęciem świata i Boga, widzi się obarczonym dykcyonarzem wyrazów przez pół tylko zrozumianych bo obcych, i gubi się w chaosie pojęć niejasnych, obcą formą spaczonych, potwornych. Nie przydadzą mu się one ani do potrzeb praktycznego życia ani do dalszego rozwoju naukowego. Tylko wytrwalsi, zdolniejsi rozpoczynają pracę naukową na nowo, a nie mogąc iść dalej drogą, którą ich prowadzono, idą jako samouki manowcami własnemi, odłączając się od wspólnej pracy umysłowej narodu i ludzkości. Szczęściem naród nasz ma tyle sprężystości umysłowej, loiczność języka naszego jest tak nieubłagana, dusza nasza tak ściśle związana z życiem narodu, że umysł błądzący własnym torem nie łatwo się zgubi w bezdrożach mistycyzmu, lub na jałowych pustyniach obcych i nie przydatnych nam pojęć. Ależ ile czasu ten umysł stracił, ile sił zmarnował, ileż zapasów duszy przetrwać musiał!

Mniej zdolni lub mniej wytrwali wnet zwątpią o potrzebie i zbawienności nauki, która ani potrzeb praktycznego życia ani potrzeb duszy, za prawdą i wiedzą łaknącej, zaspokoić nie może. Pozbywszy się całego przyboru słów bez treści, wracają do pojęć których nabyli w zrozumiałych i miłych dźwiękach mowy ojczystej — i obstawają przy tak zwanym praktycznym rozumie, który jako prawdziwy Proteusz w każdej głowie, w każdej rodzinie, inne formy przybiera i to tylko ma do siebie, że rzadko kiedy wyzuwa się z formy i treści narodowej.

Niech nas nikt nie obwinia o obojętność dla skarbów wiedzy ludzkiej; a jeśli to tu i ówdzie się objawia, nie nasza w tem wina. *R.*

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

Od roku 1853....

Objąwszy majątek taki, w którym od wieków panowało gospodarstwo niby trzy-polowe lecz w gruncie rzeczy dowolne, jak to się w Polsce zdarzało najczęściej — a chcąc ten majątek zagospodarować odpowiednio wydatkom i wymaganiom dzisiejszym: można z nowszych nabytków agronomicznej nauki w dwojaki sposób korzystać. Więc tedy można:

Albo zmazać od razu wszystko, co dotychczas istniało, i przyjąwszy stosowne do miejscowości zasady agronomiczne i ekonomiczne, radykalnie wprowadzić je w życie.

Albo zostawić tymczasowo to, co istniało dotychczas, a wytknąwszy sobie cel, do którego się ma dążyć, istniejące dziś wady, wedle wskazówek nauki i własnych doświadczeń a odpowiednio wytkniętemu celowi, pomału poprawiać.

Pierwszy sposób jest racyonalniejszym, bo jest gruntownym i radykalnym, — jakoż trza mu to przyznać, iż tylko za jego pomocą można utworzyć gospodarstwo wzorowe; ma przytem tę ogromną zaletę, iż ułożony i przeprowadzony rozumnie, przynosi po swem przeprowadzeniu zupełnem najwyższe możliwe i nigdy już potem niezmienne dochody. Ale ma także i swoje wady. Najgłówniejszą z nich jest ta, iż jak każdy cel radykalny, tak i on także wymaga ofiar

ogromnych, czyli mówiąc wyraźniej, ogromnych nakładów. Drugą jest ta, iż może być przedsięwziętym tylko w majątku takim, gdzie gospodarz zastaje już pewną i niezawodną możność sporządzenia lub zakupienia koniecznej dla niego rokrocznie ilości nawozu. A trzecią jest ta, iż może byé przedsięwziętym tylko w kraju takim, gdzie tak agronomicznym jak i ekonomicznym stosunkom towarzyszą aż do pewnej niewiele znaczącej zmienności stałe i niezachwiane, już-to prawami, już naturalnemi okolicznościami, ubezpieczone warunki. Drugi sposób jest mniej racyonalnym, a nawet w gruncie rzeczy wcale nim nie jest: bo ma tylko cel zasadniczy wytknięty, a czas i środki prowadzić mające do niego zostawia sobie do woli. Ztąd, opierając się więcej na trafności rozsądku, niżeli na matematycznej pewności rozumu, ma wielkie wady. Najgłówniejszą z nich jest ta, iż wtedy gospodarz, zniewolony stósować się ciągle do bieżących okoliczności, nigdy na pewno wiedzieć nie może, kiedy zamierzonego dobieży celu; znajduje się nawet często-kroć w tem położeniu, iż zamiast pospieszać naprzód, musi stać w miejscu, bo w dalszym postępie widać chwilową niekorzyść dla siebie. Drugą wadą jest ta, iż budując na rzeczy tak wiotkiej, jaką jest trafność rozsądku wybierająca pomiędzy okolicznościami, ulegającemi szybkim odmianom, nietylko że nie zawsze jest pewnym swoich dochodów, lecz często jest narażonym na stratę. Trzecią jest ta, iż pozostając w nieustającej zawisłości od tysiąca wypadków, zmuszony jest do nieustającego rozmyślania, zapobiegania, kłopotania się, zkąd wynikają bardzo częste frasunki a bardzo rzadka chwila spokoju. Ma ten sposób jeszcze i inne wady pomniejsze, których tu nie wyliczę. Ale za to ma ogromne zalety. A najgłówniejszą z nich jest ta, iż przeprowadzany roztropnie, nie wymaga nigdy wielkich nakładów, a w majątkach posiadających grunt urodzajny, położenie szczęśliwe lub jakiekolwiek okoliczności korzystne, może się bardzo łatwo obejść o środkach tych, których sam fundusz ziemi dostarczy. Drugą równie wielką jego zaletą jest ta, iż może być przedsięwziętym w każdym majątku, w każdym klimacie, w każdym rodzaju ziemi a nawet w najnieprzyjaźniejszych okolicznościach. Trzecią nareszcie zaletą jest ta, iż może być przedsięwziętym w każdym kraju, jakiekolwiek stosunkom rolniczym i ekonomicznym towarzyszą warunki. Z tego wynika: iż w kraju takim, gdzie wszystko jest nadzwyczajnie niestałe, a mianowicie: klimat niestały, robotnik niestały, ceny produktów niestałe i podatki niestałe: sposób pierwszy jest zawsze niezmiernie hazardownym, a w każdym razie może być przystępnym dla wielkich kapitalistów lub Stowarzyszeń, które mocą niewyczerpanych funduszów są w stanie dotrzymać kroku wszystkim nieprzyjaznym okolicznościom; — sposób zaś drugi jest dla każdego przystępnym, a dla właścicieli takich, którzy muszą żyć z swoich majątków, dotychczas jeszcze jedynym.

Rozumowanie to jest nietylko logicznem w teoryi, ale zarazem zgodnem z doświadczeniami, co każdy znający nasz kraj widzi na pierwszy rzut oka.

Jednakże cudzoziemcy, przychodzący do nas, nigdy tak nie rozumują. Głównym tego powodem jest to, iż stan naszych gospodarstw, choćby nawet i niezłych, jest stosunkowo do ich pojęć o gospodarstwie tak całkiem złym, że im się to w żaden sposób nie może pomieścić w głowie, ażeby mogli cokolwiekbądź z tego zachować, co tu zastaną. W tej zasadniczej idei, której z ich głowy ani klinem nie wybić, leży zazwyczaj główny zaród ich zguby. Albowiem ta zasadnicza idea, która, lubo ma pewne poważniejsze oparcie, lecz niemniej przeto jest uprzedzeniem, prowadzi ich wprost do przyjęcia radykalnej zasady zmazania wszystkiego a rozpoczęcia gospodarstwa nowego z gruntu i od razu.

Takiej także zasady chwycili się ci obadwa Prusacy, którzy Grodowiska kupili. Postępowanie ich byłoby godnem szczegółowego opisu: szkoda że nie mam tu miejsca na niego. Wymienię wszakże przynajmniej ich główne postępki.

Więc tedy najpierw' wzięli się do ziemi i postąpili sobie z nią bardzo racyonalnie. Zbadali jej warstwę spodnią i warstwę rodzajną. Tę ostatnią rozebrali chemicznie i znaleźli że jest złożoną głównie z piasku i gliny, dołem z przymieszką pruchnicy i wapiennego marglu, górą z drobnemi cząstkami samego marglu. Zważywszy jeszcze do tego położenie gruntów wysokie i chłodne, *Herr Düsseldorfer* rzekł:

— *Sand und Lehm, das ist een fruchtbarer Boden, besonders jeeignet für Roggen. Hiemit die Hauptfrucht: Roggen.*

Badając ziemię w położeniach jej wyższych, uważał wprawdzie, że wegetacya na niej jest nadzwyczajnie słaba i licha; ale nie przypisał tego ani rzadkości gleby z natury, ani jej wyplenieniu przez owsy, tylko polskim pługom i bronom, i polskiej niezdarności rozumu. Zaczem ułożywszy rotacyę na zasadzie głównej uprawy żyta, uprawił jeszcze tej samej jesieni trzysta korcy żyta — a na wiosnę odpowiednią ilość wyk, grochu i bobu; resztę pomijam. Drugą ważną gałęzią Grodowiskiej intraty był las. Za czasów Krzesława i Nowickiego spieniężano go w sposób najprostszy. Drzewo budulcowe sprzedawano na pniu a inne szpilkowe tarto na deski, które pozbywano na miejscu. Była to sprzedaż bardzo niekorzystna; ale skutkiem nieprzyjaźnych okoliczności miejscowych jeszcze najkorzystniejszą ze wszystkich. Nie przyznali wszakże Prusacy tej niekorzyści okolicznościom, tylko osławionej niezasadności Polaków: zaczem zastosowali wyrób drzewa do potrzeb Wrocławskich, i pozawierawszy znaczne umowy w tem mieście, rozpoczęli tę fabrykę na wielką skalę jeszcze tej samej zimy. Trzecią ważną gałęzią był piwny browar. Fabryka ta znajdowała się dotąd w takim stanie, w jakim się zwykle znajdują u nas browary, obliczone na konsumcyę

miejscową. Nowicki, który miał dostatek kapitału pod ręką, warzył piwo na własny rachunek, i bardzo dobrze na tem wychodził. Przezorny Krzesław, nie mając dostatku pieniędzy, wypuszczał ten browar piwowarowi i brał za niego sto dukatów, wszystko młóto i sprzedawał mu drzewo po cenie dosyć wysokiej. Prusacy tę małą lecz pewną gałąź dochodu wywrócili do gruntu: urządzili browar na wielką skalę, sprowadzili susznię kosztowną, naczynia kute i drogie a do nich piwowara Prusaka — i zaczęli warzyć piwo dobre, drogie i obliczone na wielkie miasta.

Tak samo także postąpili sobie z gorzelnią. Machinę dawną, jeszcze niezłą, sprzedali na wagę, a sprowadzili nową dwakroć tak wielką, wszystkie naczynia i nowe wszelkie przyrządy, a do nich gorzelnika Prusaka. Zaprowadzili zresztą w gorzelni tę ważną zmianę, iż nie pojmując korzystnego spieniężenia wywarów przez skarmienie ich wołmi opasowemi, zaprowadzili natomiast tysiąc dwieście owiec cienko-wełnistych.

Do tego wszystkiego już tylko dodać wypada, iż wszystkie inwentarze robocze jak i narzędzia rolnicze zaprowadzili w jak najlepszym gatunku — i trza im przyznać, iż wszystko to było umiejętnie zastósowane do rodzaju i położenia ziemi, bydło robocze doskonale żywione, uprzężone i usposobione do pracy.

Tak urządziwszy się w oka mgnieniu, wzięli się do roboty, — i pracowali tak, jak tylko można najlepiej, dozorując wszystkiego pilnie i umiejętnie, nie zaniedbując się w niczem, nie zasypiając ni dnia ni nocy. —

Tak minął rok cały z okładem.

Kto wywrócił wszystko co zastał do gruntu, ten w ziemi nie może się spodziewać jeszcze żadnych rezultatów po jednym roku, ani po trzech, a ledwie dopiero po sześciu lub ośmiu, co zwykle zależy od rozciągłości przyjętej rotacyi: ale u nich już po jednym roku okazały się rezultaty ogromne.

Albowiem z owych trzechset korcy żyta zebrali i schowali do szpichrza korcy trzysta, mówię wyraźnie trzysta: i to jeszcze do tego z tą znaczną korzyścią, że żyto, które zasiali, ważyło funtów sto siedmdziesiąt, a to które zebrali, sto trzydzieście. Z wyk, grochów i bobów, została tylko pamięć w rejestrach.

Na drzewie wyszli jeszcze daleko lepiej. Albowiem tylko jedna umowa w Wrocławiu poszła im gładko: a zresztą wszystko pod włos. Kiedy przyszło drzewo ścinać, nie było ludzi; kiedy je przyszło oprawiać, ludzi nie było; kiedy je przyszło wywozić, to znowu nie było ludzi. Sprowadzili więc kilkadziesiąt familii podobno aż z prowincyi nadreńskich, które dla pospiechu przybyły psami, a tak przecie pomału oprawili to drzewo. Ale kiedy je nareszcie dostawili na miejsce, okazało się, iż nietylko nie było na tem żadnego zysku, ale przeciwnie ogromna okazała się strata.

Na browarze wprawdzie nic nie stracili, bo robili piwo dobre, które nawet pomału zaczęło znachodzić odbyt w miastach stołecznych; ale także nic nie zyskali. Bo na takim browarze nigdy się nie zyskuje w pierwszym roku, a to z tej prostej przyczyny, iż takiemu producentowi musi chodzić przedewszystkiem o uzyskanie rozgłosu dla swego produktu, zaczem sprzedaje go tanio: a jeżeli tylko nie stracił i rozgłos uzyskał, to na pierwszy rok jest już korzyść dla niego niezmiernie wielka.

Na gorzelni także nic nie stracili, bo umiejętnie urządzona gorzelnia tracić nie może; ale i tu także zysku nie mieli, bo z powodu wielkiej drożyzny w kraju zysk na gorzelni był prawie niepodobieństwem.

Ażebyśmy mogli zrozumieć tych rezultatów donośność, musimy się pierwej dowiedzieć, jakimi właściwie ludźmi byli ci obadwa Prusacy, i w jakie byli zaopatrzeni środki.

Ci ludzie, którzy tutaj ze Szląska pruskiego, z Saxonii, Brandenburgii, a nawet aż z prowincyi nadreńskich przypływają za kupnem, są po największej części wyrzutem tamtejszego szachrajstwa. Zwabieni taniością ziemi, zakupują ją łatwo i prędko, lecz zwykle na to, ażeby złowić którego ze swoich rodaków i zyskać na odprzedaży. Ci ludzie miotają zazwyczaj krociami, ale ani tysiąców nie mają; kupują ziemię od właścicieli takich, którzy z tych albo owych powodów chcą ją sprzedać koniecznie; zaczem dawszy zadatek, resztę albo przyjmują w długach, albo obowiązują się spłacić ratami. Jeżeli znajdą nowego nabywcę, to wynoszą się z zyskiem na powrót: a jeśli go nie znajdą, to uroniwszy zadatek, wynoszą się bez zysku. Takich przekupniów jest między nimi najwięcej. Wszakże są i tacy, którzy mają jakiekolwiek fundusze, a skuszeni tutejszemi lasami i przestrzeniami, zakupują się na to, ażeby z rolnictwa, przemysłu i handlu wyciągać te korzyści, których wedle ich rozumienia nie umieją wyciągnąć Polacy. I ci także zazwyczaj nie mają odpowiednich swojemu przedsiębiorstwu funduszów, a licząc zawsze na ten kredyt, który ma ziemia w Niemczech ale nie ma go w Polsce, kupują dobra po trzy i po cztery razy droższe, niżeli może zapłacić ich kieszeń. Jednakże mocą swego przemysłu kredyt ten zwykle aż do pewnego stopnia znajdują: bo są pomiędzy nimi nareszcie i tacy, którzy mają dostateczne fundusze i mieli z ich prowizyi spokojne i przyzwoite utrzymanie po miastach, lecz złakomieni na wyższą prowizyę w Polsce, dają się przez swych przedsiębiorczych rodaków wciągać do spółek.

Ci, którzy kupili Grodowiska, nie byli to jeszcze z tych przybyszów najgorsi. Więc *Düsseldorfer*, — żyd chrzczony na wiarę luterską: prześliczna pod względem religijnym figura! — był to spekulant. Miał w swojem życiu najrozmaitsze przedsiębiorstwa: posiadał dobra wielkie i małe, fabryki perkalów i sygarów, młyny parowe i kopalnie galmanu, sklepy korzenne, żelazne, galanteryjne, oberże i kamienice: i miewał przytem czasem po sto kilkadziesiąt tysięcy, a czasem po kilkanaście tysięcy talarów majątku, — jak to zazwyczaj razmaicie się zdarza handlarzom. Kiedy do kupna Grodowisk przystąpił, miał ze trzydzieście

tysięcy. Z tem nie mógł oczywiście zawrzeć tej umowy, zwłaszcza że ich nie miał w gotówce: więc znalazł sobie spólnika — a tym był *Herr von der Ecke*. *Herr von der Ecke* był to Brandenburczyk rodem i miał *im Uckermärkischen* ziemski majątek. Żył tam spokojnie, trudniąc się rolnictwem. Ale kiedy mu dzieci wymarły i tylko żona została, sprzedał swoją fortunę i żył z prowizyi w Berlinie. Tam go *Düsseldorfer* wynalazł i do spółki namówił. Jego żona bardzo się temu sprzeciwiała, ale *der Drang nach Osten* jej męża przemógł jej opór—i przyjechali oboje do Polski.

Zawartą tedy została pomiędzy obudwoma mężami taka spółka, iż *Düsseldorfer* przystąpił do trzeciej części, a *von der Ecke* do dwóch trzecich. Obadwa razem mieli tyle funduszów, że mogli Grodowiska zapłacić w całości; ale nie wypłacili, zostawiając część trzecią do wypłacenia za rok pod rygorem wexlowym, sądu polubownego z gotowym wyrokiem, i pod wszystkiemi rygorami, jakie są tylko na świecie, bo przecież mieli do czynienia z Krzesławem. Cóż tedy w Grodowiska włożyli? — oto ten kapitał, który właściwie do Krzesława należał, a który mu powinni byli wypłacić po upływie jednego roku. Oparli się na tem, że ten kapitał w Grodowiska włożony odzyskają do roku za pomocą gorzelni, browaru i lasu. Ale go nie uzyskali, tylko w jednej połowie całkiem stracili, a w drugiej uwięzili w nakładach. Już więc po jednym roku położenie ich było nadzwyczajnie krytyczne. Ale jeszcze się ocalili. Przemyślny *Düsseldorfer* rzucił się do Wrocławia i przyprowadził jeszcze jednego Niemca ze sobą, który im części tego kapitału dostarczył — a za to przyjechał z żoną i dziećmi i zamieszkał w pałacu. Kapitał ten jeszcze nie wystarczył na zapłacenie Krzesława, ale *Düsseldorfer* zabrał co miał piwowar i co miał gorzelnik — a tak zbył się nareszcie tego strasznego długu, który mu jak miecz wisiał nad karkiem. Pozaciągawszy takie pożyczki, odetchnęli Brandenburczycy swobodniej — i zdawało im się, że już wygrali. Nauczeni doświadczeniem, mogli już coś mieć z roli i lasu, a z gorzelni i browaru powinno było już płynąć czyste złoto. Ale naturalnie i te rachuby ich omyliły — a to z tego powodu, że nie mieli czem tego kosztownego gospodarstwa prowadzić. Browar mógł im ogromne przynosić dochody, bo już miał wziętość, lecz tylko wtedy, gdyby był miał nigdy niewyczerpane zapasy jęczmienia i chmielu; tak samo gorzelnia, tak samo las, tak samo i rola. Pieniędzy nie było — a trza ich było koniecznie. I *Düsseldorfer* ich ciągle dostarczał; ale jakiemi środkami? Oto niszcząc lasy i role, wypuszczając tartaki i młyny, drąc gdzie się dało, a zresztą pożyczając u żydów na lichwę. Skutki takiego gospodarstwa są wiadome; bo dziś już każdemu jest wiadomą ta prawda, że każde gospodarstwo bez obrotowego kapitału to nieustająca choroba — a nakładowe, to śmierć. Tak więc i oni, — w drugim roku wleźli po pas — a w trzecim po szyję.

I zaprawdę, że warto było natenczas widzieć to gospodarstwo wzorowe, ażeby się przecież czegoś nauczyć. Wszystkie role licho pozasiewane, — łąki w stanie najgorszym, — siano wyblichowane a zboże opadłe z kłosa na polu, — budynki poodzierane, — inwentarze zniszczone, — owce wylenione a bydło kudłate: oto ich gospodarstwo. Rozmaite też wtedy zaczęły im się wydarzać nieszczęścia, na ziemi polskiej nie widywane. Tak np. nagromadzili z niemałym kosztem ogromną kupę bukowych liści na ściółkę, którą zsypali w dziedzińcu: zerwał się wicher i wymiótł te liście do czysta. *Düsseldorfer*, który stał właśnie w ganku i z otwartemi usty przypatrywał się tym chmurom liścia, latającym po niebie, zażył tylbo tabaki i rzekł: — *Verfluchtes Land! So een Wind ist mir noch nie vorjekommen!* — Kiedyindziej przygotował dwie kupy kompostów, a ponieważ do ich polewania potrzeba wody a w Grodowiskach stawu nie było, więc przemyślny Brandenburczyk założył je nad brzegiem strumyka. Bardzo to niepokaźny był strumyk, lecz fantastyczny, jak to często zdarza się na Podgórzu. Tymczasem w nocy padła ulewa. Jakimś snem niespokojnym zmęczony, przybiegł *Düsseldorfer* o świcie do swoich kompostów—i zamiast nich zastał tylkie dwie wielkie łysiny, które wapno wypaliło w murawie. I znowu zażywszy tabaki, zawołał: — *Verfluchtes Land! Louter Stürme und Wasserfluthen!* — Takich nieszczęść było bez końca, bardzo przyjemnych dla gospodarza takiego, który grzęźnie w długach po uszy. Jakoż natenczas — a mianowicie od wiosny roku 1855 zaczęły się straszliwe rzeczy dziać w Grodowiskim pałacu. Cała jego załoga zburzyła się przeciw sobie, kłócąc się z sobą, lżąc się nawzajem i napadając na siebie. Rozżarty temi stratami *Herr von der Ecke* rzucał się z pięściami na *Düsseldorfera*, — pani *von der Ecke* na panią *Düsseldorferową*, — trzeci spólnik na tamtych obydwóch, — jego żona na tamte dwie żony, — i nieraz po całych godzinach był tam harkot jak w psiarni, i latały rynki, talerze i rądle, jak owe liście w powietrzu....

Doprowadzony do ostatniej rozpaczy *Herr Düsseldorfer*, — widząc, że już na żaden sposób nie wygrzęźnie z tych długów, bo rosły na lichwie jakby na drożdżach, — rzucił się za ostatecznym ratunkiem, za kupcem. Pojechał do Wrocławia, do Berlina, do Drezna; ale napróżno. Rozpisał po wszystkich gazetach niemieckich: *Ein schönes Rittergut zu verkaufen*; ale i to nie pomogło. Zaczął się wreszcie rzucać po kraju, pomiędzy panów, pomiędzy szlachtę, pomiędzy żydów, — chciał sprzedać tanio, za bezcen, nareszcie za nic, ażeby tylko kto długi przyjął i jego grzeszną duszę wypuścił; ale i na to każdy tylko ramionami wzruszał i mówił: Kiedyście wleźli w błoto to siedźcie.

Z takiego losu naszych mniemanych cywilizatorów można-by się śmiać do rozpuku.... ale nie można się śmiać w żaden sposób. Albowiem to, co powiedziano dotychczas, jest tylko jedną stroną tego smutnego obrazu. Druga jest jeszcze daleko smutniejszą, jest prawie przerażającą.

Każda wieś polska była dawnemi czasy jak gdyby państwem udzielnem. Nie była lenną, bo jej właściciel był jeszcze więcej niezawisłym i wolnym niż lennik. Cóżkolwiekbądź, zawsze jego stosunki do jego gromad były tego rodzaju, jak stosunki panującego do jego poddanych. Były to związki tak ścisłe, silne i utrwalone wiekami: że ich nawet zniesienie poddaństwa nie potrafiło rozerwać zupełnie. Jakoż trwają one po większej części do dziś dnia. Zawsze jeszcze gromada nie może się obejść bez pana, i czy jej trzeba, czy nawet nie trzeba, zawsze się do niego udaje. Zawsze jeszcze pan nie może się obejść bez gromady, a choćby się mógł obejść bez niej, to po staremu rad utrzymuje te resztki narodowych tradycyi, które się i na tej drodze jeszcze chowają. Utrzymywanie tych związków jest nawet jego obowiązkiem, tak z powodów moralnych, jak politycznych, jak wreszcie obywatelskich — a tylko ten, który nie pojmuje przyszłości i nie dba o nią, zrywa je lekkomyślnie. Prusacy tych obowiązków obywatelskich nie pojmowali wcale, ale pomimo to bardzo ważne wpływy wywierali na losy gromad Grodowiskiego państwa. Zrozumieli oni bowiem od razu, wprawdzie nie moralną, ale materyalną stronę związków z gromadą; zaczem z niej korzystali we wszelkie możliwe sposoby. Od razu, z góry, przyjęli dążność, ażeby te gromady zubożyć, w części dlatego, ażeby od zubożałych powykupywać grunty, a w ogólności dlatego, ażeby mogli tem łatwiej nad niemi panować. Toż póki jeszcze mieli pieniądze, pożyczali im je na lichwę, przybierając ją w najrozmaitsze postacie — a zawsze gniotąc ich srodze, exekwując bez miłosierdzia, grabiąc i narzucając im kary, co wszystko im uchodziło. Prócz tego przycisnęli ich i innemi wyderkafami, urządzając je bardzo zmyślnie, ale najniepoczciwiej. Tak ponakładali na nich podatki w kształcie robocizny za pastwiska, za chrust do grodzenia, za las, za wygony przez swoje pola, za zbieranie jagód i grzybów, ledwie nie za powietrze i wodę. Za robociznę nigdy im nie płacili gotówką, tylko kwitkami, które im propinatorowie przyjmowali wedle stanu finansów dziedziców, czasem za dwie trzecie części nominalnej wartości, a w chwilach krytycznych ledwie za połowę. Nareszcie, mając przy sobie zarząd budowy mostów i dróg na swojem territorium, uciskali ich szarwarkami, szachrując niemi w najniegodziwsze sposoby, zabierając te robocizny na swoje pola, przyjmując za nie wykupno a nawet i gotowe pieniądze. Taki ucisk straszliwy rozprzestrzenili nad gromadami już wtedy, kiedy jeszcze mieli najlepsze widoki, począwszy podupadać, zamienili ten ucisk prawie w łupież publiczną.

Jednakże nie poprzestali na uciskach materyalnych: zaprowadzony przez nich ucisk moralny był jeszcze daleko dotkliwszym. Tu rozpoczęli naturalnie od tego, co najboleśniej mogło dotknąć gromadę. Tak przedewszystkiem odebrali im budynek, w którym była szkółka gromadzka a który był własnością skarbową. Potem odebrali im drugi taki budynek, w którym był zakład dla dziewcząt. A wreszcie zabrali się do rozbierania pałacowego kościółka, tak serdecznie ukochanego przez całą gromadę.... Prócz tego zalali całe te dobra ludźmi swojego narodu. Powypędzali ze wszystkich gospod i karczem i innych podobnych przybytków żydów polskich, a poosadzali na nich Prusaków: więc na karczmach Prusaków, na młynie Prusaka, na tartakach Prusaków, na blichu Prusaka. Naprowadzili nadto, jak już wspomniano powyżej, kilkadziesiąt rodzin pruskich z nad Renu. Ludzie ci za czasów lepszych trudnili się wyrąbem drzewa i paleniem popiołu, i z tego żyli. Ale kiedy ich panowie nie mieli ich czem płacić, porozłaziło się to po wsiach, zakupując gdzieniegdzie kawałki gruntu, narzucając się w komorne po chatach, podjadając ubogich włościan a wreszcie żebrząc po wiejskich ulicach. Okropny był natenczas widok tego niegdyś serdecznie polskiego majątku. Zaledwie gdzie można było usłyszeć jakie słowo polskie, w gospodzie rozmawiano po prusku, we młynie po prusku, na tartakach po prusku, na blichach po prusku, w lesie po prusku, na polu po prusku, w ulicy nawet daleko częściej zaleciały cię odgłosy pruskie niż polskie. Bo chłop był wtedy zgarbiony, stłumiony i jakby struty: szedł przez ulicę milczący, milcząc pracował, w kościele nawet modlił się milczący. Zgoła przez całe państwo, gdzie było spojrzeć, nie było widać nic, jak tylko ubóstwo, głód, nędzę, smutek, rozpacz — i głuche przytem milczenie, jak zwyczajnie w niewoli.

Jakoż kto wówczas przejeżdżał przez ten majątek i stanąwszy w gospodzie, rozpytał się o stosunki miejscowe, temu się dziwnie gorzko zrobiło na sercu. I mówił sobie: — Zabili ich materyalnie, zabili moralnie; wszystko już tutaj przepadło!

Ale tymczasem.... bardzo-to niegruntowne bywają wnioski, które ktoś o jakimś majątku lub kraju wydaje z prędkiego przezeń przejazdu, albo wyciąga je z wiadomości pozasięganych w gospodach. Tak pisał o nas Kohl, i wielkie niedorzeczności popisał; tak pisał Grabbe, a my go czytać nie możem bez śmiechu; tak piszą korespondenci do gazet niemieckich, a my tylko ramionami wzruszamy na te przedwczesne tryumfy. Bo my wiemy to dobrze: iż gromadę taką, która od wieków, od niepamięci, własną zamieszkiwała ziemię, która zawsze tę ziemię z całego serca kochała, która żyła pomiędzy sobą rodzinnie i zgodnie, i zawsze się trzymała wiary i ziemi i mowy swych ojców, nie tak łatwo zabić moralnie, jak się to może na popasie w gospodzie wydawać. Gromadkę taką, gwałtem, uciskiem i podstępami, mogą materyalnie źli ludzie podkopać, — mogą ją ugnieść, zubożyć, zarzucić tysiącami boleści: ale ducha jej zabić, może tylko Bóg sam albo jej własne niedbalstwo. Gdzie zaś gromada sama o sobie pamięta i z narzuconym jej losem pogodzić się nie chce; tam wszystkie usiłowania ludzkie są nadaremne: bo duch jest niezwyciężony — i jak w ogólności nie podlega prawom tej ziemi, tak i w szczegółach nie ulega nigdy mocy rąk ludzkich. Owoż

tak samo, pomimo wszelkich pozorów przeciwnych, miała się do swych panów i gromada Grodowisk. Pod takim ciężkim uciskiem i zdzierstwem zgarbiła się wprawdzie, posmutniała, umilkła: lecz przeto nie podupadła na duchu bynajmniej. Owszem przeciwnie, im bardziej przygniatano ich materyalnie, tem oni wyżej się podnosili moralnie; im silniej ich ciągniono w stronę ich sercu nieodpowiednią, tem uporczywiej się rwali za pociągami swojego serca. Toż chociaż tam po gospodach i po ulicach burmistrzowały żywioły pruskie, za to tylko tem żwawiej krzewił się żywioł rodzimy po chatach, a gospod i ulic było wszystkiego kilka— a chat były całe seciny.... Gdzie gromadzie nie brak dobrego ducha a jeszcze do tego jest pewną swojej wyższości liczebnej: tam ani o dzielność, ani też o wytrwałość nie trudno. Grodowisczanie przedewszystkiem innem trzymali się dzielnie. Już od samego początku robili tylko to, co musieli, a oprócz tego ani półdzionka. Wszakżeż powiedzieli sobie z góry: „Nie będziemy im robić nic; niechaj tak skapią jak lód, kiedy go wrzucą do pieca". Tej zasady się wiernie trzymali. Toż w skutek niej blichowało się siano Prusakom na polu, i zboże spadało im z kłosa i Prusacy kapali. Dławili ich ci nowi panowie szarwarkami i wyderkafami, to oni szli z nimi do prawa; nie pomagało prawo, to szli na naradę do Xięży. Proboszcz ich, a przytem kanonik, był podobno dawniej trochę Galicyaninem; ale pod takim srogim uciskiem prędko się opamiętał i trzymał wiernie z gromadą. A stary wikary trzymał z nią wiernie przez całe życie. Więc tedy na radzie mówił im zwykle Kanonik:

— Moje dzieci! praw słuchać trzeba, bo nie wyżyć ludziom bez prawa. Ale trzeba wam wiedzieć, że i na prawo jest prawo, a to się zwie apellacyą. A kiedy się coś zacznie, to też trzeba dokończyć, jak mężom statecznym przystało. — Zaś odważniejszy wikary, bo był niezawisłym od dworu, żyjąc z pracy swej własnej, dodawał zwykle do tego:

— A nim apellacya wyda wyrok, to sprawa jeszcze nie rozstrzygniona: natenczas ma każdy człowiek swój los w własnem ręku, — a głupi jest ten, który się nie ratuje. — Tak więc szukali prawa na prawo; a tymczasem się ratowali — oporem. I wtedy do ich dzielności przyłączyła się jeszcze wytrwałość, która ich opór zrobiła dziwnie żylastym. Odebrali im szkółkę Prusacy: to oni zrzucili od siebie po groszu, jęli się razem do pracy i wystawili szkółkę na własnych gruntach. Odebrali im zakład dla dziewcząt: to przystawili jeszcze drugi budynek do szkółki. Chcieli im kościół rozbierać, to go wykupili: zapłacili za niego sowito, ale go rozebrać nie dali. Tak się trzymali we wszystkiem nawet w czasach tych, kiedy Prusacy mieli jeszcze cokolwiek fantazyi; toż kiedy wziąwszy dosadne cięgi na browarze, gorzelni i lesie, zaczęli coraz bardziej na kieszeni szwankować a za kieszenią i na fantazyi: nuż wtedy po nich co siły! Tak im doradził wikary. Więc przedewszystkiem nie robili im nic, choć zgiń. Przymuszani, exekwowani, grabieni, przynosili im ich kwitki, mówiąc: — Niechaj wam robią te kwitki, któreście nam wydali, a nie wypłacili. Wymagali od nich wiele Prusacy za opał, to nie brali z ich lasu ani trzaseczki, a kupowali sobie paliwo na stronie. Chcieli ich drzeć za pastwiska: to wyprzedali na lato część swoich bydeł, a dla reszty wyznaczyli tłokę na własnych gruntach. Kazali sobie dużo płacić za chrust do grodzenia: to nie brali od nich ani jednego pręta; w czasach tak ciężkich można się obejść bez płotów. Żądano od nich wiele za zbieranie grzybów i jagod, to ich nie zbierali; w czasach tak ciężkich można się obejść bez grzybów a tem bardziej bez jagód. A kiedy już raz wpadli na taką drogę skuteczną, to poszli i dalej. Pędzili Prusacy gorzałkę i sprzedawali ją po swych karczmach, z czego wielkie ciągnęli zyski, a oni sobie powiedzieli: — Nie damy im z siebie zyskiwać. I odtąd nikt nie wypił w ich karczmach ani jednego kieliszka gorzałki. Warzyli Prusacy zawsze jedną część piwa na wyszynk miejscowy a z nich żaden nie wypił odtąd ani jednej szklennicy piwa. Powiedzieli sobie nareszcie: „Ażeby pokusy nie było, nie chodźmy już chyba do karczem". I odtąd ani noga żadnego z nich nie postała w karczmie....

Smutno im było, bo nic nie zarobić, nie posilić się trunkiem i ani potańcować, ani nawet pogawędzić ze sobą w gospodzie, to dla wieśniaka bardzo smutne jest życie; ale kiedy im z tego względu było smutno, to za to sto razy weselej zkąd innąd. Oto widzieli oni własnemi oczyma, jak ich zachowanie się coraz widoczniejsze pociągało za sobą skutki. Pod naciskiem Prusaków oni wprawdzie biednieli, potracili pastwiska, lasy, sposobność do zarobku a nareszcie stracili wszelką dawną swobodę, ale za to pod ich oporem brali Prusaków diabli w ich oczach i kapali jak lód, kiedy go wrzucą do pieca. Im więcej było biedy w pałacu, im więcej nieszczęść i kłótni i sporów, tem im pocieszniej, ba i weselej. Przyszło nareszcie do tego, iż się na nich poznali a widząc, jak wiele ich niepowodzeń ma swoje źródło w ich przyrodzonej, chociaż może uczonej głupocie, zaczęli ich sobie mieć za nic, i drwić z nich głośno i śmiać się im w oczy. Kiedy im wiatr zabrał liście z dziedzińca, Maciej Pięta, najśmielszy we wsi parobek a przytem wesół jak Pan Bóg przykazał, stanął przed *Düsseldorferem* i rzekł mu:

— Panie Prusak! wiatr ci zabrał liście a ty teraz siedzisz jak głupi. A trzeba ci tego było? Nie byłoż ci się nas spytać, jak my robimy z liściem? Anoż był-byś się wtedy dowiedział, że my każdy liść przywieziony przybijamy goździem do ziemi. — Tak drwił sobie z nich ten niecnota, kiedy im woda pozabierała komposty, kiedy im siana mokły na deszczach a zboże spadało z kłosa. Toż kiedy Prusakom zaczęło się tak źle powodzić, że już wcale przytomność tracili, parobcy gromadzcy byli niewyczerpani w robieniu im psot najrozmaitszych. Wpadali im nocą na łąki i wypasali je do czysta; zatamowali wodę w potoku pod wieczór i przez noc zalali i zamulili im rzepak; podpalali im nawet półkopki w polu, tak sobie, dla fajerwerku.

Szli potem w tych psotach dalej. Kiedy się *Düsseldorfer* pokazał we wsi, gromada chłopców puszczała się za nim, świszcząc i krzycząc i hukając na niego jakby na wilka. Czasem kilkunastu parobków wpadało w Niedzielę wieczór do karczmy, i kiedy Prusacy przy dźwiękach swojej muzyki tańcowali sobie pomaleńku i jaknajspokojniej, oni puszczali się w taniec za niemi a w tańcu pozrzucali im kapelusze, wysturkali im boki, aż w końcu wszczęli spór z nimi i powyrzucali ich wszystkich za okna. Czasem nie potrzeba było do tego ani karczmy, ani wieczora, ani Niedzieli: bo i w dzień powszedni, do słońca jasnego, jak tylko się jaki Prusak pomiędzy chaty zabłąkał, nuż po nim! i przetrzepano go między płotami jak kota w worze. Toż wtedy i całkiem inna fantazya ożyła we wsi. Nie schodzono się po gospodach, ale zbierano się po chatach bogatych, i bawiono się wcale wesoło; nie trudno było usłyszeć swobodną piosnkę na polu, a nawet skąd'eś zaczęły się brać piosneczki zupełnie nowe, a śpiewające o rychłym końcu tej nieznośnej niewoli. Kto miał przyjść na miejsce Prusaków i jakim sposobem ta gromada miała przyjść do innego pana: nikt na pewno nie wiedział; ale już coś takiego było wtedy w powietrzu, taki był duch, taka wiara ogólna, że ktoś przybędzie, może z sąsiedztwa, może z za morza, a choćby nawet z nieba, a przybędzie koniecznie i biednych tych niewolników z pod jarzma wybije albo też wykupi......

Taki był w Grodowiskach stan rzeczy, kiedy dnia jednego na czas przed słońca zachodem — a działo się około ś. Jana roku 1855 — dała się słyszeć trąbka pocztowa we wsi, a niebawem jakiś powóz ogromny, srodze wypakowany, zajechał przed ganek pałacu. Z tego powozu wyskoczył pan jakiś, który na pierwszy rzut oka całkiem na Francuza wyglądał. Był jeszcze młody, miał lat trzydzieście najwięcej, twarz rumianą i świeżą, oczy duże, otwarte, wesołe, uśmiech na ustach i filuternie zakręcone wąsiki, jakie zazwyczaj nosi dzisiejsza młodzież francuzka. Miał przytem na sobie cały ubiór podróżny, zrobiony z wełnianej materyi w delikatne krateczki, na tem paletot, letnie z bronzowego sukienka z jedwabną podszewką i różyczką w guziku, na glansowanych trzewikach zgrabne kamasze, kapeluszyk okrągły podróżny, lornetkę na szyi i cieniutką laseczkę w ręku. Tak wyskoczył z powozu, rzucił uśmiechnionemi oczyma we drzwi pałacu i zdawało się, jakby zawołał: *Me voilà!*

Nie był to wszakże Francuz, ani cudzoziemiec, tylko Polak najrodowitszy a przytem najprawowitszy dziedzic Grodowisk. Był to Dobiesław. Po długich latach doczekał amnestyi i przyjechał nareszcie!

Jego postać zewnętrzna sprawiała bardzo przyjemne wrażenie. Jego młodość rumiana i krzepka pociągała ku sobie, wyraz jego twarzy otwartej, wesołej i rozgarnionej, chwytał za serce, jego zręczność, układność i grzeczność, której nawet pocztylionowi nie skąpił, obudzały żywą ku niemu sympatyę: ach! ale czemuż to wszystko takie francuzkie! — Ha! to smutno! Jeden pojechał na naukę do Niemiec, i wrócił w holcmicy niemieckiej; drugi do Francyi, i wrócił w kamaszach francuzkich....

Jednakże o Dobiesławie nie godzi się jeszcze tracić nadziei. Przedewszystkiem bowiem trza zauważać, iż od czasów Bolesława Chrobrego aż po dnie naszych ojców zawsze tak samo robili Polacy. Zawsze kto tylko mógł wyjeżdżał na naukę do Włoch i do Niemiec, do Francyi a nawet i do Hiszpanii, i nic im to nie szkodziło. Osobliwie z tych, którzy pobierali nauki we Włoszech i Francyi, miewała ojczyzna nasza zazwyczaj wielką pociechę, a czasem i wielkich ludzi. Takimi byli Zamojscy, Kochanowscy, Tarnowscy, Sobiescy i innych moc niezliczona. Tylko ci, którzy się uczyli w Ingolsztadzie i Lipsku, przywozili głowy przewrotne do kraju, a nawet ci, którzy swą młodość trawili na służbach rycerskich u rzymskich niegdyś cesarzów, tylko wichrzyli ojczyzną zamiast jej służyć, jakich całe setki wylicza historya protestantyzmu w Polsce na polu religijnem, z dodatkiem Diabła-Stadnickiego, Zborowskich, Radziejowskich, Dzierzanowskich i wielu innych na polu spraw polityczno-rycerskich. Wychowanie i służby francuzkie, aż do drugiej połowy XVIII wieku, nigdy nie szkodziły Polakom, a nawet i potem jeszcze blizkie stosunki z Francyą częściej nam wychodziły na korzyść, niżeli na szkodę. Bo już to jakoś tak jest, iż duch francuzki ani nas całkiem wynaradawia, ani nam psuje naszą fantazyę rodzimą i narodowe tradycye; kiedy natomiast duch inny działa na nas jako trucizna, niszcząc i psując to wszystko co nasze. Już ta sama uwaga bardzo za Dobiesławem przemawia, — jeszcze daleko więcej ta, iż do tak długiego pobytu we Francyi był po prostu zmuszony, — a najwięcej ta, iż nie trawił tam czasu daremnie. Idąc za popędem swojej epoki, jak tylko przybył do Paryża w roku czterdziestym szóstym, zaczął słuchać kursów politechnicznych. Studya te przerwał mu rok czterdziesty i ósmy i kampania węgierska, lecz powróciwszy potem znów do Paryża, powrócił zarazem do swoich nauk, tak jak gdyby się był tylko oddalił na ferye. Trzy lata jeszcze, z taką pilnością i pracą, jak to umieją tylko Francuzi, oddawał się obranym przez siebie naukom; aż z końcem roku 1852 stanął z patentem na inżyniera na własnych nogach. Pięknemi zaopatrzony świadectwy mógł z największą łatwością wejść w służbę rządową albo przynajmniej publiczną: ale mając to ciągle na myśli, że kiedyś wróci do swojej rolniczej ojczyzny, której chciał-by był służyć z całego serca i z jak największym dla niej pożytkiem, jak przez cały czas nauk starał się zawsze o nabycie gruntownych wiadomości agronomicznych, tak zaraz po tychże nauk skończeniu wstąpił w zawód rolniczy. I częścią jego zdolności, a częścią przyjaźń i szacunek, które pozyskał u ludzi, tak dobrze mu posłużyły, iż zaraz na samym wstępie uzyskał piękną posadę w administracyi dóbr wielkich, położonych w północnej Francyi a należących do Lorda L*, które ten pan od swoich krewnych wykupił, w stanie najgorszym odebrał i

właśnie na stopę odpowiednią dzisiejszej nauce i doświadczeniu urządzić zamierzył. Bardzo więc zajmującą i ze wszech miar korzystną posadę otrzymał Dobiesław: pracując bowiem w spółce z znakomitymi w tym zawodzie mężami, niezmiernie wiele korzystał; osuszając moczary, karczując bezpożyteczne lasy, łamiąc przedpotowe nowiny a użyźniając powysysane role, uczył się rozwięzywać w praktyce najtrudniejsze agronomiczne zadania; będąc zmuszonym dla zasięgania pomocniczych środków udawać się często na drugą stronę Kanału, miał sposobność przypatrzyć się gospodarstwom angielskim i szkockim; a mając posadę pracowitą i roztargnoiną, miał zarazem najlepszą porę, tak do odznaczenia się zasługami i zdobycia sobie pewnego imienia, jak również i do zrobienia czegoś dla siebie. Jakoż istotnie, po upływie półtrzecia roku, już był uzyskał zupełne zaufanie u swego pryncypała, już miał pewne widoki znakomitego przed sobą zawodu, już nawet przez francuzką i emigrancką oszczędność uzbierał sobie kilkanaście tysięcy franków: Kiedy w tem przyszło mu pozwolenie powrócenia do kraju.

Położenie jego natenczas zdawało mu się niezmiernie trudnem. Zastanowić się nad tem poważnie: czy ma wrócić, czy zostać? było jego obowiązkiem. Tak mu nakazywał jego *realizm*. Jakoż istotnie za pozostaniem przemawiały ważne przyczyny. Prócz tego bowiem, że bawienie pewnej ilości Polaków we Francyi ma swoje nieidealne ale bardzo realne powody; pocóż ma dzisiaj wracać do kraju ktoś taki, który nie ma powracać do czego — a tam ma zawód, który go żywi, i zawód taki, któremu w kraju się poświęcić nie może, bo albo go tu niemasz zupełnie, albo nie przyjmują do niego Polaków? Kto tedy ma we Francyi zacny kawałek chleba, służy poczciwie ogółowi ludzkości i przytem się jeszcze sposobi, ażeby w danym razie mógł tak samo służyć swojej ojczyźnie — a mimo to wraca, aby tu trawił swe życie albo bezczynnie i nudnie, albo całkiem nieodpowiednio swoim zdolnościom: ten postępuje sobie nieroztropnie, bo czyni ze siebie ofiarę bez najmniejszej dla kogokolwiek korzyści. Ale Dobiesław nie był w tem położeniu. Bo najpierwej jego zawód był tego rodzaju, iż miał najpiękniejsze pole dla siebie w ojczyźnie; a oprócz tego był przekonanym, iż ma do czego powrócić. Nie wiedział on bowiem nic do tej chwili, co się stało z Grodowiskami. Krzesław mu o tem nie doniósł. Natomiast zaś pisywał mu tylko listy, z początku z Grodowisk a potem bez daty, listy uskarżające się łzami krwawemi na niedolę, na biedę, na nędzę, w jaką obadwa popadli. Opisując mu swoje trudy, któremi usiłuje majątek rodzinny ratować, ofiarował się zarazem posyłać mu coś na utrzymanie. Ale Dobiesław, który jeszcze w szkołach przywykł na chleb zarabiać, nawet w czasach dla siebie najgorszych ani grosza nie przyjął: a kiedy otrzymał posadę, napisał mu list najserdeczniejszy i najweselszy, że już niczego nie potrzebuje od niego, że gotów się zrzec nawet swej części, byle tylko majątek został uratowany i został nadal w ich imieniu. Od tego czasu Krzesław coraz rzadziej pisywał, coraz niewyraźniej i mgliściej; zawsze mu się skarżył na niedostatek i biedę, ale zawsze tylko o tyle, ażeby ani jego zbyt wielka bieda nie przywołała Dobiesława do kraju, ani ażeby jego możność nie ośmieliła go do zażądania przypadającej na niego połowy. Dobiesław tedy był przekonany, nietylko że ma powracać do czego, ale nawet że jego zdolności znajdą tu najpiękniejsze pole do popisu dla siebie, bo do wydobycia z upadku rodzinnego majątku. Wprawdzie ani jego gospodarcze, ani też majątkowe widoki, nie mogły jeszcze ani w połowie wyrównać tym widokom, jakie już wtedy miał we Francyi: ale kto w takiem znajduje się położeniu, temu tylko *materializm* każe pozostać, a trzeźwy i rostropny *realizm* każe powracać. Dobiesław nie był materyalistą: więc wrócił.

Ach! i jakże powracał szczęśliwym! Będzie znów widział ojczyznę, będzie widział tę ziemię kochaną i piękną, na której powstała jego rodzina, za którą tylu jego przodków położyło swe życie, za którą on sam nacierpiał się tyle! Wróci na swą ojcowiznę, będzie oglądał ulubiony przez siebie pokój swej matki, i pałac ten stary, w którym tak krwawe walki z tem życiem staczali jego ojcowie, i kościoł ten, w którym na wieczny spoczynek w cierniowych się kładli koronach. I będzie się witał z tym ludem serdecznym, który go niegdyś tak kochał, — i znów będzie zasiadał pod kolumnami pałacu, w obec wspaniałych posągów Kościuszki i Xięcia Józefa, i będzie się napawał widokiem tego pięknego kraju, którego dalekie krańce nikną gdzieś w mgłach nieprzejrzanych, tak jak dzieje jego wiekowej niedoli nikną już dziś w niepamięci.....

Takiemi przepełniony uczuciami, które jego młodzieńczą duszę świętem porywały natchnieniem i wznosiły ją jakby do jakiejś pieśni harmonijnej i dźwięcznej, jakby do jakiegoś wzniosłego choralu, wyskoczył z powozu i stanął przed gankiem.

Ale tymczasem w tę duszę tak nastrojoną uderzyły wrzaski najokropniejszego rozstroju.

Było coś piekielnego w tem wszystkiem: zaledwie to podobna opisać...

Albowiem zaledwie spojrzał do sieni, ażeby miłościwemi oczyma objąć ten widok uroczy, który wymarzył w swej duszy: kiedy usłyszał jakiś harkot okropny, jakiś wrzask głosów wcale niezrozumiałych dla siebie, a przytem brzęczenie szyb, i rynki i radle uderzające o ściany. W tem oka mgnieniu wyleciał do sieni wystraszony jak zwierz i srodze zjajany *Herr Düsseldorfer*, a tuż jechał na nim *Herr von der Ecke*, kując go pięścią w kark bez litości, pieniąc się z gniewu i wołając głosem zaciekłym: — *Du Hund verfluchter! du Dieb! nur hundert Gulden hast du für's Holz jenommen! Ich weirde dir leihren! Du musst ins Zuchthaus! du musst mir hinein! Ich weirde dir leihren!* — A w też pędy

wyleciała za nimi cała garść kobiet i dzieci, wołając wtórem: — *Der Dieb! der Halunke! er hat uns immer bestohlen!* — *Düsseldorfer* się kręcił jak szatan kropiony wodą święconą, i wił się, i chciał się wydrzeć z rąk swemu koledze. I wydarł się rzeczywiście, wołając: — *Een Jast! een Jast! lassen sie mir, Herr Ecke! es ist een Käufer auf Grodowiska!*

A wtedy w oka mgnieniu zmieniła się scena. Obadwa dziedzice Grodowisk zaczęli się kłaniać Dobiesławowi, i uśmiechać zapienionemi ustami, i szwargotać coś z pruska. Ale Dobiesław był jakby pół martwy, bo się wszystkiego domyślił. Więc tylko załamał ręce i patrzał przed siebie niewidomemi oczyma, rzuciwszy w nieprzytomności jakichś słów kilka francuskich. A wtedy *Herr von der Ecke* domyślając się w nim Francuza a razem kupca, a może nawet i jego samego, zaczął mu się kłaniać na nowo i mówić do niego: — *Ah! c'est fous, Monsieur! fous afez lu notre anonce tans les chournaux! fous foulez acheter ces derres! c'est pien! c'est drès pien, Monsieur! che fous brie....* Te jakieś głosy skrzeczące, poprzekręcane, niezrozumiałe, rozdarły tak Dobiesława, że aż mu się twarz wykrzywiła....

Ale tymczasem *Herr von der Ecke* wziął go pod ramię i zaprowadził do wnętrza pałacu. Dobiesław, pod tłumiącem brzemieniem tego tak dziwnie rozstrojonego obrazu całkiem nieprzytomny, dał mu się wziąć i prowadzić: i wszedł w kapeluszu do pałacu, jak do obory. Tam cokolwiek otrzeźwiał, ale tylko o tyle, ażeby tem jaśniej obaczyć dalsze obrazy tej panoramy. Z tych wspaniałych sal i pokoi, w których żyli jego ojcowie, gdzie jego matka swe świętobliwe odbyła męczeństwo, gdzie on sam przeżył swe lata dziecięce, cóż się to dziś nie zrobiło! Straszliwie wyglądało teraz to wszystko! Ściany puste i podrapane, porozwalane kolumny, powybryzgiwane posadzki, drzwi potrzaskane w kawałki! Z jego rodzinnych portretów, z owych pięknych posążków, które stały po kątach, z obrazu Matki Boskiej wmurowanego w ścianę, przed którym lampka płonęła co Piątek, już ani śladu! W jadalnej sali, gdzie do biesiad poważnych zasiadali jego dziadowie, gdzie w obec Chrystusa Pana na krzyżu odprawiały się sessye konfederackie, gdzie jego pradziad, szlachetnym uniesiony sromem, śmiercią ratował czystość swojego imienia: leżały dziś kupy ziemniaków i brukwie! W gabinecie jego matki, gdzie tyle łez, cierpień i bolów, przyschło do tych ścian zielonych, że mu to miejsce nigdy się inaczej nie przedstawiało w pamięci, tylko w postaci cudownej kaplicy, do której-by pielgrzymował na klęczkach: stały dziś beczki z kapustą i donice z serwatką! Pomiędzy nie szczury biegały do koła a brzydka ropucha wyszczerzała pysk jadowity z pod deski.... Dobiesław przeszedł te wszystkie pokoje z załamanemi rękami, z zakamieniałą łzą w oku, z oddechem zapartym w piersi — a za nim postępowały w milczeniu wynędzniałe postacie chudych przybyszów, wlokąc za sobą ogłupiałą z podziwu czeredę obdartych niewiast i dzieci....

Ścisnęła mu się pierś wreszcie i nie mógł już dłużej patrzeć na tę okropną ruinę swej ojcowizny, w której tak brzydkie się lęgło robactwo, — i wyszedł pod kolumnadę pałacu, wiodącą w ogród. Tu chciał odetchnąć przynajmniej tem świeżem powietrzem, którego żaden gad zatruć nie zdoła. Ale tu jeszcze więcej przerażający przedstawił mu się widok. Z tych wszystkich krzewów kwiecistych i kwiatów, które jego ojciec zasadził a matka nawet w czasach ubóstwa tak utrzymywała starannie, nie pozostało dziś ani jednego listeczka. Na ich miejscu plugawe rozsrożyły się chwasty, jak w przedsieni do piekła. Poniatowski, tak pięknie z białego wyrzezany kamienia, padł twarzą na ziemię, głowa mu pękła i odskoczyła od ramion, a po jego barkach szerokich ślizgał się gad jadowity.... Kościuszko stał jeszcze, ale mu oręż z rąk wytrącono, a całą jego postać wysokie okrążyły pokrzywy, z pomiędzy których podnosząc oczy ku niebu, nie przysięgał już: że zwycięży lub zginie; lecz zdawał się raczej błagać o miłosierdzie u Boga....

Dobiesław stał tak przez chwilę, w ciężkiej pogrążony boleści: lecz zerwał się nagle i pobiegł w ogród — a odwracając oczy od lip stuletnich porzniętych na deski, i topol pościnanych na szufle, i klonów pokłutych na jakieś narzędzia, i świń ryjących po najpiękniejszych gazonach, — biegł tak gdzieś bez pamięci. I biegł co miał siły, ażeby przebiedz czemprędzej to piekło, i uciec ztąd, i rzucić się na kolana przed Bogiem u drzwi swego rodzinnego kościółka. Na szczęście, zastał go jeszcze! Co zaprzedał brat oświecony, to utrzymał lud ciemny. Dobiegłszy wreszcie do tej świątyni, ale nie mając już sił, aby mógł się utrzymać na klęczkach, rzucił się na ławę kamienną pod jego murem stojącą, i porozrywał suknie na sobie, bo mu duszno było jak w ogniu, — i opuścił głowę na piersi, bo mu smutno było jak w grobie....

Bóg wie, jak długo tak siedział, najsprzeczniejszemi targany myślami. Dziwnie też wtedy wyglądał. Twarz mu gorzała płomieniem, czoło go piekło jak żarem, oczy biegały na wszystkie strony a nigdzie nie mogły znaleźć dla siebie spoczynku. Wszystko tu dla nich już było obce, nic swego! — Uspokoił się wreszcie na chwilę, — łzy mu się rzuciły do oczu, — a wtedy pomimo woli nasunęły mu się na myśl jak gdyby w jego własnem sercu zrodzone uczucia poety:

Niedawno odwiedziłem dom nieboszczki matki:
Ledwie go poznać mogłem! już ledwie ostatki!
Kędy spojrzysz, rudera, pustka i zniszczenie!
Z płotów koły, z posadzek wyjęto kamienie,
Dziedziniec mech zarasta, piołun, ostu zioła....

— A gad plugawy do koła! A gad plugawy do koła! zawołał głośno Dobiesław — i wzburzony na nowo, zerwał się z miejsca — i uciekł — i zniknął.

Dokąd go jego boleść szlachetna poniosła, nie było widać: bo słońce już wtedy było zapadło, zmrok ciemny się rozścielił po ziemi, czerwona pręga jeszcze gorzała na niebie zachodniem, ale już pierwsze gwiazdy błyszczały jasno na wschodzie. *(D. c. n.)*

SIMEON.

A oto był człowiek w Jeruzalem, któremu imię Simeon, a ten człowiek sprawiedliwy i bogobojny, oczekiwający pociechy izraelskiej. A Duch święty był w nim.

Ewanielia ś. Łukasza Roz. II. wiersz 25.

Wiódł sprawiedliwy żywot od młodu,
Chociaż w niewoli się rodził;
Ani podłością skalan' ni pychą,
Żył jak na puszczy, samotnie, cicho,
Bo śród zepsucia swego narodu
Drogą zepsucia nie chodził.

I widział w koło zgraję motłochu,
A nad nią bicz bożej chłosty;
I widział swoją ojczyznę Judzką,
Dzisiaj oplwaną pogardą ludzką;
Patrzał jak król jej czołga się w prochu
U nóg rzymskiego starosty.

Przed wszechwiedzącym kłamie Jehową
Bezduszna kapłanów rzesza,
Faryzeusze obłudni czynią
Świątnicę Pana łotrów jaskinią,
Wciąż noszą w uściech Mojżesza słowo
Bez iskry wiary Mojżesza.

Brat dyszy złością naprzeciw bratu,
Ustami modlitwy głosząc,
Aże Pan mówi: „Ludu ty podły!
Przykre mi twoje stały się modły,
Przykre mi święta twego Szabbatu,
I zmordowałem się znosząc.“ *)

Pleśń samolubstwa ich oskorupia,
Serca ich kute z opoki;
A gdy mąż święty wiary swej męztwem,
Grzmi im Jehowy strasznym przekleństwem,
Nieukorzona zgraja ta głupia
Własne morduje proroki.

Sława minionych lat w poniewierce,
I wszędzie kał i sromota!
Toż gdy na braci swojej szkarady
Patrzał on człowiek milczący, blady,
A potem zajrzał w czyste swe serce,
Własna bolała go cnota.

*) Izajasz. Rozdział I wiersz 13 i 14.

I wołał we łzach: „Kiedyż o Panie!
Podniesiesz lud Izraela?“
Bo śród czarniejszych coraz pomroków
On stale słowu wierzył proroków,
Że boskie wróci znów zmiłowanie,
I dzień powróci wesela.

Że syn człowieczy piekłu bój wyda,
A piekło runie w tym boju;
Że On Maluczki co się narodzi,
Bożej się chwały blaskiem ogrodzi,
I na stolicy siądzie Dawida
Książe wiecznego pokoju. **)

Więc czekał wierząc, aże Bóg raczy
Zapowiedź uiścić cudu,
I wielka była jego otucha,
Bo przyrzeczenie w duchu miał z Ducha:
Że wprzód nie umrze, aże obaczy
Zbawienie swojego ludu.

I raz już starcem wszedł do kościoła,
A oto w śnieżnej sukience
Stała Niewiasta pośród natłoku,
Radością matki jaśniała w oku,
Dziewictwo z twarzy lśniło Anioła,
Dziecię trzymała na ręce.

A Niemowlęciu temu się skronie
Myślą promienią wiekową,
A w Jego oku, Bóstwa obrazem,
Tak miłość z mocą jaśniały razem,
Aż starzec Dziecię pochwycił w dłonie,
Wysoko podniósł nad głową.

Aż mu po czole blask się roztoczy,
Jak złoty promień zachodu,
Na twarz gorących łez puścił strugę:
„Panie! w pokoju puść twego sługę,
Kiedy już moje widziały oczy
Przyszłego Zbawcę narodu!“

Adam Pajgert.

**) Izajasz. Rozdział IX wiersz 6 i 7.

OPOWIADANIE o KRÓLU JANIE III.

przez

KAROLA SZAJNOCHĘ.

Opowiadanie I. **Mściciel.**

(Żytomierz r. 1860.)

Znakomity w świecie naszym, autor Szkiców historycznych, Jadwigi i Jagiełły i tylu innych cennych prac dziejowych, udarował nas znów opowiadaniem historycznem niewypowiedzianego wdzięku i wysokiej literackiej wartości.

Nie masz u nas popularniejszej postaci dziejowej nad bohatera z pod Chocimia i Wiednia, a jednak ogół wie bardzo mało o tym królu rozgłośnego imienia i wyrobił sobie nawet całkiem fałszywe o nim pojęcie, a pisarze z krzywdą jego pomagają częstokroć do fałszowania tej znakomitej postaci. Z razu nie troszczono się o spisanie życia Jana III., bo wystarczało opowiadanie kominkowe świadków jego życia i czynów, a kiedy ustępować zaczęły owe kroniki żywe, to zadowolała szlachecką ciekawość Rubinkowskiego Janina. Napuszysty Rubinkowski przyznaje się, że nie bardzo wpatrywał się w jasną postać Jana III, bo od wpatrywania się w słońce wzrok stracić można, toż na pierwszej zaraz stronnicy i rok urodzenia i ród matki swego bohatera mylnie podaje, ale za smutnej pamięci epoki Sasów lubowała sobie szlachta w jego banialukach, przeplatanych wierszem i polskim i łacińskim, ba nawet rysunkami owych komet, co zjawiały się jako prognostyki chwil wielkich. I zarysował się Sobieski z czasem w wyobraźni szlacheckiej w postaci rubasznego szlachcica, co szablą wyrąbawszy się na króla następnie ową na karkach tureckich rozmachaną szablą i Niemców z pod jarzma półksiężycowego wyswobodził, a takie o nim pojęcie i dziś dość rozpowszechnione, nawet między ludźmi co o innych drobniejszych figurach dziejowych dokładniej się poinformowali z obcych książek w szkołach.— Ale wyobrażenie takie nie tyle może krzywdzi pamięć króla-bohatera, ile bierna rola naznaczana mu przez niektórych dzisiejszych pisarzy, co nachwytawszy (zwykle z drugiej ręki) luźnych wieści o słabości króla dla małżonki i usiłowaniach obcych dworów ażeby przez nią wpłynąć na męża, usiłują przedstawić nam Jana III jako bierne narzędzie zostające pod wpływem obcych gabinetów Maryi Kazimiry.

Nikt nam jednak dotąd nie opisał dokładnie j sumiennie tego mimo swej popularności zapoznanego króla. Dopiero p. Szajnocha, co już nie jedną postać dziejową otarł z osłaniającej jej prawdziwe kształty pleśni wiekowej przedsięwziął nam przedstawić w całej prawdzie i jasności posąg wielkiego pogromcy Islamu.

W opowiadaniu, które mamy przed sobą, a które otwiera dłuższy szereg opowiadań o Janie III, nie występuje on jeszcze w bohaterskich zapasach z półksiężycem, ale przedstawione tu owe wszystkie okoliczności, co wpływały na wychowanie jego jako piastuna idei pogromienia Turków, jako mściciela poległych od miecza muzułmańskiego pradziada, dziada, wuja i brata.

W opowiadanie to wprowadza nas p. Szajnocha krótkim rysem tej „do najpoetyczniejszych stron dawnej Polski“ należącej Rusi podkarpackiej, zwanej ziemią obiecaną, miodu i mleka obfitym płynącą zdrojem, opływającej w sole, kuźnie żelazne, huty szklanne, stada koni, bydło i wszelkie zwierze, „której poetycznego przyozdobienia dopełniła pewna wcale niepożądana okoliczność, która srodze gniotła podówczas, sąsiedztwo z Tatarami i Turcyą.“ Ziemia ta ciągle zagrożona najazdami tatarskiemi i tureckiemi, a „najpiękniejsze z tych kwiatów, z których roje pszczół ruskich zbierały swe miody sławne, rosły na licznych po całej Rusi mogiłach.“—Ale „poetyczny kontrast między błogosławioną przyrodą kraju a wiszącą nad nim grozą pogańską, jakby dziwnym jakimś urokiem pociągał ludzi ku Rusi“ i zmagającem się niebezpieczeństwem przybywało osad. W północnej stronie województwa ruskiego rozciągały się dobra wielkich domów pańskich, południowa okolica podgórska zaludnioną była szlachtą drobnych fortun; a można i drobna szlachta przyczyniały się „zarówno do uprawy i obrony pięknego kraju“. — „Kraj błogosławieństwa, kraj niedoli, byłto zarazem kraj osobliwszego zespolenia sielskości z rycerskością, cnót ziemiańskich z bohaterskiemi, losów patryarchalizmu błogiego z traicznością najwyższą“. P. Szajnocha opowiada nam jeden z najpoetyczniejszych ustępów takiego domowo-bohaterskiego życia dawnych rodzin czerwonoruskich.

Niedaleko Lwowa leżały „w kilkumilowej od siebie odległości trzy miasteczka z trzema zamkami warownemi, siedziby trzech znacznych imion ruskich“. W Żółkwi mieszkał jej założyciel sławny kanclerz i hetman W. koronny Stanisław Żółkiewski, w Olesku zięć jego wojewoda ruski Jan Daniłłowicz, a w Złoczowie Wojewodzic Lubelski Jakób Sobieski, co później został zięciem Danniłowicza.

Dziwnie poetycznym wdziękiem nakreślił nam pan Szajnocha poważną postać Stanisława Żółkiewskiego. Po przeczytaniu tej części opowiadania zda się, że to stał przed nami posąg hetmana, że dzieje sobie spółczesne opowiadał nam sam hetman, co w ciągu dni swoich wysłużył 44 obozów, którego prywatny żywot „zgasł niejako całkowicie w świetle jego zawodu publicznego,“ co obracając wszystko na służbę rzeczypospolitej, część majętności po ojcu mu zostawionej bez żalu sprzedał, a przeżywszy lat przeszło siedmdziesiąt tego tylko pragnął, aby mógł— wedle słów własnych — „zdrowiem swojem zastąpić niebezpieczeństwo ojczyzny a położyć żywot z pogany dla wiary św. chrześcijańskiej.“ — Doczekał się mąż wielki upragnionej śmierci, ale synowie tej ziemi, której tak dzielnie służył, mieli mu gorzko zatruć dnie ostatnie. Weszło bowiem już podówczas „w zwyczaj myśleć głównie o sobie, niknęła powoli wszelka możność skupienia bitnych umysłów w jedno wielkie, powszechne przedsięwzięcie, cały związek społeczny zaczął rozprzęgać się w mnogość nieukorzonych, niczem zespolić się nie dających samowolników. Ztąd ile razy władza królewska zamierzyła wstępnym bojem walczyć którekolwiek z niebezpieczeństw zewnętrznych, coraz trudniej było uzyskać potrzebną zgodę,.... skoro zaś niedostatecznie poparta wojna do wątpliwego doprowadziła pokoju, znaleźli się zaraz pojedyńczy zapaśnicy na własne ramię, którzy zuchwałemi zaczepkami potężnego nieprzyjaciela zawichrzali zawarte z nim przymierze.“ — Kiedy zatrudniona wojną moskiewską rzeczpospolita na wywołaną bez potrzeby wojnę przeciw Turkom w Multanach ani wojska ani pieniędzy nie udzieliła, powstrzymał Żółskiewski z polecenia króla zbliżenie się Turków do granic polskich traktatem w Buscy zawartym (r. 1617), mocą którego ani piędzi ziemi nieprzyjacielowi nie ustąpiono, ale obowiązano się do wzbronienia panom polskim najazdów na ziemię mołdawską, włoską i siedmiogrodzką. „Dla rozzuchwalonej szczęściem dumy i ambicyi szlacheckiej zdały się te warunki upokarzające“ i „podniosły się zjadliwe skargi i obmowiska przeciw staremu hetmanowi. — „W każdej rzeczy-

*

pospolitej jak Polska" — mówi Szajnocha, „gdzie wielki tłum ubogiego obywatelstwa nie posiadał prawie innych środków okazania swojej gorliwości obywatelskiej jak wrzawne cenzurowanie powołanych do działania współziomków, byłoby się nie obeszło bez ciężkich wyrzekań przeciw sprawcy traktatu w Buscy — niesforniejsze od innych republikanckich gminów szlachectwo polskie rzuciło na niego tysiącem zarzutów niedołęztwa, braku odwagi, opieszałości i t. p. — Bohaterski zwycięzca pod Kłuszynem musiał oczyszczać się z podejrzenia, iż nieśmiał stawić czoła wrogowi", i usprawiedliwiając się mową sejmową składał buławę, czego król nie dopuścił. — Kiedy niebawem powikłany w rozmaite intrygi hospodar multański Gracyan począł poduszczać Polskę do nowej wojny z Turcyą, i ulegając głosom szlachty król zlecił Żółkiewskiemu posiłkować Gracyana, to w naszym hetmanie ozwała się „dawna tęsknota położenia głowy za kraj i Chrystusa" co „rymowała tak zgodnie z chęcią przekonania bezmyślnych obmowców, że jeszcze nie zgasł ogień w piersi hetmańskiej, a niesmak rozżalonego do braci niesfornej serca przydawał pośpiechu i pewnej zawziętości postanowieniu." Choć jednak wszystek naród sarkał na traktat w Buscy, choć wszyscy odzywali się za nową wojną, to „zaledwo kilkatysięcy rąk na całym obszarze Polski sięgnęło po misiurkę i pancerz, aby stanąć pod chorągwią hetmańską." Wyprawę tę, śmiało o słabej sile przeciw silnemu nieprzyjacielowi przedsięwziętą, rozpoczęła fortunna dla naszych potyczka, ale nazajutrz przy powtórnem z nieprzyjacielem spotkaniu odbiegają najznakomitsi panowie i rycerze hetmana najsromotniej „bez żadnej innej przyczyny jak tylko z podszeptu owego nieszczęśliwego ducha sporności, który rwał wszelkie rady w sali sejmowej i rozprzęgał wszelką karność w obozie." W obec 60000 nieprzyjaciół pozostało hetmanowi do 4000 ludzi w kraju cudzym, i poczęło taborem ustępować ku brzegom Dniestru, ale o dwie mile od brzegów tej rzeki nowa występuje niesforność i rozrywa się tabor, a wnet uderzają Tatarzy. Co żyje pierzchnęło podówczas i tylko 300 rycerstwa zostało przy hetmanach. „Żółkiewski w obec wszystkich przebił konia swojego na znak iż w żadnym razie uchodzić nie myśli." I poległ. (r. 1620) Kiedy sprowadzono zwłoki jego do kraju, przemowę miał na pogrzebie sąsiad i przyjaciel rodziny Jakób Sobieski, a na grobowcu położono napis. „Jak słodko i chlubnie umierać za ojczyznę, odemnie ucz się." —

Syn hetmana Jan Żółkiewski dostał się w owej śmiercią ojca zakończonej walce ciężko ranny do niewoli, a powróciwszy po drogim okupie do kraju został panem Żółkwi. — Z pola ostatniej walki pisał pewny już śmierci hetman do żony: „Pan Bóg wszechmocny da, że syn nasz miecz po ojcu wziąwszy, na karkach pohan zaprawi i chociażby tak było jak rzekłem, pomści się krwi ojca swego" — ale nie powiodło się pomścić pełnemu nadziei młodzieńcowi, bo kiedy urządzał właśnie wyprawę przeciw Tatarom na własną rękę, ozwały się rany odebrane pod Cecorą i życia dokonał. (R. 1623) Na pogrzebie znów miał mowę Jakób Sobieski a na kamieniu grobowym położona napis: „Wielkiego rodzica do wielkich rzeczy zrodzony syn jedyny." W rok potem zeszła także znana z głębokiego rozumu i gorącej miłości kraju wdowa hetmańska Regina Żółkiewska, nad jej zwłokami przemówił znów dziedzic Złoczowa, a w kościele Żółkiewskim położono pod jej wizerunkiem napis z pisma św. z księgi mścicielki narodu żydowskiego Judyty: „Biada narodowi na naród mój powstającemu, bo Pan wszechmogący będzie się mścił nad niemi."

Kiedy wygasł ród hetmański po mieczu, został dziedzicem Żółkwi i zemsty na śmierć hetmańską kilkunastoletni Stanisław Daniłłowicz, urodzony z Zofii Żółkiewskiej, córki hetmańskiej, syn dziedzica Oleska Jana Daniłłowicza, wojewody ruskiego. — Zaprawiony w sztuce wojennej w bojach z Moskwą i Szwedami, rozpoczął też przeciw Tatarom, ale przemogły go silniejsze zastępy nieprzyjaciela i dostawszy się do niewoli w tejże zamordowanym został (r. 1637). Nad sprowadzonem do kraju ciałem wojewodzica przemówił znów Jakób Sobieski ożeniony z siostrą jego Teofilą Daniłłowiczówną, a dzieciom tej pary Markowi i Janowi pozostała dziedzictwem fortuna Żołkiewska z Oleską, i zemsta za śmierć pradziada, dziada i wuja.

(D. n.)

PISMA CZASOWE POLSKIE.

W dzisiejszem sprawozdaniu zwracamy uwagę czytelników naszych na kilka spraw narodowych i literackich zarazem, które w pismach warszawskich spowodowały żywą plemikę. —

Gazeta Codzienna n. p. występowała (podobnie jak inne pisma warszawskie) przeciwko margrabiemu Wielopolskiemu, który był odziedziczył sławne zbiory naukowe po śp. Konstantym Swidzińskim. Ganiono to Wielopolskiemu że nie oddał tych zbiorów, — stósownie do życzenia panującego powszechnie w tamtejszym świecie literackim, które to życzenie popierała opinia powszechna, — że nie oddał takowych na użytek publiczny, że je umieścił w miejscu oddalonym od ogniska życia literackiego, słowem że margrabia Wielopolski obchodził się z temi zbiorami bardziej jak z własnością prywatną niż jak z publiczną. Rzecz się wytoczyła nie tylko przed sąd opinii ale nawet przed trybunały rządowe. M. Wielopolski bronił się i tłumaczył, ale tłumaczenia same dowodzą iż p. Wielopolski nie był nawet pod względem nauki i literackich zdolności niegodnym piastunem takich skarbów; nareszcie wezwał on do pomocy taką powagę naukową jak p. Helcel. Zdawało się tedy że będzie stawił odważnie, jak zaczął był, czoło walce wypowiedzianej, i że z pola nie ustąpi. A zyskałaby literatura na takim szermierzu, zwłaszcza gdyby sprawa była zeszła z pola walki osobistej. Tymczasem nagle pan Wielopolski ustąpił, czy znękany walką, czy z innych powodów, nie wiemy. Zrzekł się spadku na rzecz prawnych spadkobierców. Coż za skutek? Nie przyklasnęła mu opinia publiczna, ale owszem gani mu znowu ten postępek. Zdaje nam się że po obu stronach jest trochę słuszności, ale trochę i niesłuszności, że wymagania obu stron byłyby się

dały snadno pogodzić. Lecz rzecz skończona. M. Wielopolski znajduje się w tem położeniu, jak pisze ktoś w jego obronie (w Gazecie codziennej), że zawsze na niego krzyczą. „Miał go (spadek Świdzińskiego) — krzyczeli; pozbył się — krzyczą. Przypomina to bajkę Krasickiego młynarz, syn jego i osioł.“ Jakże się znalazł w tym sporze redaktor Gazety Codziennej nasz sławny I. J. Kraszewski. On który ganił także Wielopolskiego za dawne postępowanie jego, gani go teraz za zrzeczenie się. P. Kraszewski ma zapawne swoje powody ku temu, jak je miał pierwej. Ale, co najwyżej cenimy, t. j. że w tej samej Gazecie otwiera kolumny obronie p. Wielopolskiego, w której sam przeciw niemu występuje, a spór cały toczy się tak przyzwoicie że się nią zapewne ani śp. Swidziński w innym świecie nie gorszy, ani się go tu p. Kraszewski lub p. Wielopolski wstydzić nie potrzebuje. —

Zresztą i to przyznać należy, że o interesa osobiste nie chodziło tu bynajmniej.

Inną sporną a niemniej ważną dla naszej literatury sprawą było, jak wiadomo, wydanie dzieł A. Mickiewicza przez Merzbacha. Sprawa ta została niemal załatwioną, bo p. Merzbach został przy swojem wydawnictwie, a rodzina Mickiewicza, czyli raczej przyjaciele jej gotują inne wydanie dzieł tych samych w Paryżu. Ogół zyskał na tem i dziś zdaje się nawot że spór ten był niepotrzebny. Jednak p. Merzbach nabawił się nowego kłopotu, który spadł z własnej winy na niego. Dołączył on do swego wydania Wspomnienie o życiu A. Mickiewicza, napisane przez kogoś bardzo blizkiego na pozór zmarłemu poecie. Autor „Wspomnienia“ jednak znalazł bardzo ostrego a sprawiedliwego krytyka we własnym bracie Adama, (Aleksandrze Mickiewiczu) który dotąd żyje i wystąpił w Gazecie codziennej ze sprostowaniami bardzo licznych pomyłek i zmyślonych podań, zamieszczonych we Wspomnieniu. Słusznie pomawia p. Aleksander Mickiewicz tego biografa o lekkomyślność, że nie zasięgnął dokładniejszej informacyi o tak dla nas drogim żywocie poety, który poezyi naszej zjednał stanowisko więcej niż europejskie (bo niektóre utwory jego tłumaczono nawet na wschodnie języki). Do kogóż zresztą słuszniej należy ująć się za prawdą w tej mierze jeżeli nie do brata, który jak sam list dowodzi bardzo dobrze włada piórem, a jako były professor Uniwersytetu, stoi niewątpliwie na wysokości tak ważnego dla naszej literatury dzieła, jak jest Życiorys Adama Mickiewicza.

I ta znowu polemika choć jest zaprawiona ironią a nawet sarkaźmem odznacza się przyzwoitością tonu, która nawet w sporach cechuje ludzi światłych i dobrze wychowanych.

Dowiadujemy się także przy sposobności sprostowania fałszywie podanej wiadomości przez p. Hołowackiego (właściwie Głowackiego) „o korespondencyi dwóch Arcybiskupów lwowskich z r. 1839“ że: 1. professor literatury ruskiej przy uniwersytecie tutejszym nie wie iż w r. 1739 nie mógł być Wacł. Hier. Sierakowski arcybiskupem obrz. łac. we Lwowie, tylko że nim był Mikołaj Wyżycki. Ale o to mniejsza, przysłowie mówi że i Homer drzymie czasem, mógł się p. Głowacki pomylić. Inna tu się wykazuje ciekawa okoliczność oto: 2) że listy Atanazego Szeptyckiego biskupa lwowskiego i metropolity obrz. greck. pisane po polsku, (co się samo przez się rozumie, a co zresztą z przytoczonego ustępu w Gaz. Codz. się okazuje) wędrują przez ręce ces. król. profesora uniwersytetu lwowskiego aż do Moskwy, ażeby tam poleżawszy lat kilka wyjść na świat w pismie wydawanym po rosyjsku. Zdaje się że szanowny profesor jak nie wiedział o Mik. Wyżyckim, tak nie chciał wiedzieć że istnieją pisma polskie poważne jąk Dodatek do Czasu, że nawet przy Gazecie rządowej we Lwowie wychodzi literacki dodatek dokąd krótsza i łatwiejsza była droga listom A. Szeptyckiego pisanym po polsku, niż do Moskwy i pisma rosyjskiego. Przytoczymy tylko jeszcze uwagę Gaz. Codz. uczynioną z tego powodu: „Nie pomylił się tutaj pewno Maurycy Dzieduszycki, który obszerne dzieło wydał o tym Sierakowskim, bo znał historyę; pan Hołowacki zna ją tylko dla polemiki, dla celów podrzędnych a niezbyt budujących.“ Sapienti sat. —

Nie możemy pominąć uwagi iż z przyjemnością spostrzegamy jak skwapliwie i skrzętnie zbierają pisma Warszawskie (szczególnie Gazeta Codzienna i Warszawska,) wiadomości o naszym kraju, o jego bogactwach przyrodzonych, przemyśle lub rolnictwie, oprócz stałych i regularnych ztąd korespondencyi. Czasem się dowiadujemy o naszej krainię czegoś dopiero z tamtejszych gazet.

Przedewszystkiem jednakże zajmują się dzienniki warszawskie wzmagającym się ciągle w tamtejszych krainach ruchem przemysłowym i handlowym, w którym szlachta tamtych krain polskich coraz żywszy udział bierze. Wiadomości korespondentów, o zgromadzeniach odbywających się to w celu wyborów do filialnych sekcyi Towarzystw Kredytowego i Gospodarskiego, to zawiązania Towarzystw spółkowych, przedstawiają nam obraz nieznanego w naszym kraju życia między tamtejszemi ziemianami. Czytamy n. p. w jednym numerze Gazety Codziennej o wyborach T. K. Z. w Kaliszu. „Przepełniły się hotele, są słowa korespondenta, na każdym punkcie spotkasz opalone twarze rolników, którzy po znojach i siewach wiosennych, pospieszyli na posługę obywatelską.... Po odbytem solennem nabożeństwie w kościele ks. Franciszkanów, stowarzyszeni udali się do sali trybunału kaliskiego (więc tam sale trybunałów stoją otworem dla zgromadzeń obywatelskich). Posiedzenie zagaił JW. Filip Grodzicki, prezes wyborów, w słowach rzewnych i treściwych. Poczem wezwawszy na assesorów WW. Józefa Jabłkowskiego i Juljana Czartkowskiego, a na sekretarza Wgo. Komiorowskiego Antoniego, odczytano listę mających prawo głosować. Z 1200 stowarzyszonych a 339 mających prawo być wybranymi na urzędy władz T. K. Z. było obecnych 96“. Nastąpiły wybory i t. d.

Tenże sam donosi o zebraniu obywatelstwa w Zborowie, gdzie „po obrobieniu kilku ważniejszych przedmiotów w kwestyach agronomicznych, oglądali współziemianie rozległe gospodarstwo dóbr tamtejszych.

Korespondencya tejże Gazety z Lublina donosi o kilku posiedzeniach. Członkowie Towarzystwa Rolniczego okręgu Soleckiego odbyli posiedzenie dnia 25 Marca

b. r. w Mircu, na którém obecni byli wysłańcy okręgu Kozienickiego, Sandomierskiego i Staszowskiego. Rozbierano tu Kwestyą Banku rolniczego a raczej domu zleceń dla Gubernii Radomskiej leżącej na pograniczu Wisły o spólnych obywatelskich siłach. Członk. Tow. rol. zebrani d. 26 kwietnia b. r. w Sandomierzu połączonych okręgów Sandomirskiego Staszowskiego i Opatowskiego" uznali konieczność urządzenia Domu komissowego dla podniesienia handlu zbożowego okolic Nadwiślańskich i wyznaczyli delegacyę „któraby możność założenia oddzielnego Domu, lub też tylko przyłączenie się do Domu Płockiego zbadała". Delegacya zajęła się zbieraniem podpisów na akcye, i zebrano do owego dnia kapitału w okręgu Sandomirskim 18150 rsr.

Delegacya uznała potrzebę porozumienia się z okręgami Zawiślańskiemi. — Dnia 29. Kwietnia b. r. odbyło się znowu posiedzenie członków T. R. okręgu Kazimierskiego w Skokowie. Tu rozważono wnioski posiedzeń odbytych w Mircu i Sandomierzu, i zgodzono się na założenie Domu rolników w okolicy Nadwiślańskiej Sandomirsko-Lubelskiej, proszono p. Wydrychiewicza dziedzica Opola, proponowanego na wszystkich tych sesyach „by się krajowi przysłużył przez urzeczywistnienie tego projektu" t. j. głównie by przyjął na siebie firmę tego domu. W skutek przychylnej odpowiedzi p. Wydrychiewicza i położonego przezeń warunku, by się do tego przyłączyły inne okręgi gubernii Lubelskiej, odbyło się dnia 11 Maja b. r. zebranie ziemian okręgów Sandomierskich i Lubelskich, na którem postanowiono założyć Dom zleceń ziemian Nadwiślańskich pod firmą K. Wydrychiewicza na akcye, które nie mogą być niższe od 50 rsr. Obywatele Sandomierscy przystąpili z gotowemi już zapisami na 49150 rsr.

Z Suwałk donoszą znowu o zjeździe obywateli na wybory członków do władz towarzystwa kredytowego ziemskiego. „Zjazd ten, pisze korespondent, który liczniejszy był niż lat poprzednich, i który przez kilka dni miasto tutejsze wielce ożywił, upamiętniony został z tego względu, że skorzystało ziemiaństwo, skorzystała sztuka, skorzystała dobroczynność." Uchwalono tu znowu założenie domu zleceń rolników augustowskich, który albo ma się połączyć z domem płockim, jeżeliby ten się zmienił na dom ogólny, albo też w razie przeciwnym ma stanowić oddzielny dom rolników Nadniemeńskich, z kantorem głównym albo w Alexocie albo w Suwałkach. Zapisane dotąd, od czasu zebrań w Justianowie i w Bendrach akcye spółki z czterech powiatów, wynoszą blisko 50.000 rsr.

Powzięto także na tem posiedzeniu zamiar założenia wielkiej przędzalni o machinie parowej. Tenże sam korespondent donosi o powstać mającej Fabryce machin rolniczych w Alexocie; o istniejącym zakładzie jedwabnictwa w Leśnictwie, który posiada już 12.000 wzrosłych z nasienia drzewek morwowych, i zebrał w roku 1859 przeszło 5000 kokonów jedwabiu; o nowej hucie szklannej w Swiacku, zakładzie serów na wzór dawnych polskich w Dumblu i t. p. Z temi wszystkiemi zgromadzeniami są połączone zwykle koncerta na dochód towarzystwa muzycznego, zabawy publiczne i prywatne, fantowe loterye i przedstawienia teatralne towarzystw dramatycznych, zjeżdżających na miejsca zebrań obywatelskich.

Korespondencye ze Lwowa w Gazecie Warszawskiej i Codziennej niemogą przedstawiać obrazu takiego ruchu w naszym kraju, bo go nam brakuje, lecz krążą one około kwestyi oświaty i literatury. Znać gorące to u nas kwestye kiedy tak często bywają roztrząsane. Kor. Gaz. Warszawskiej zastanawia się nad wadami domowego i szkolnego wychowania u nas chcąc sprostować przezto przesadne i ubliżające całej klasie nauczycielów prywatnych zarzuty przeciw wychowaniu domowemu i prywatnemu czynione przez autora Zapisków literackich w Dzienniku literackim. Korespondent lwowski Gaz. Codz. podaje wiadomości literackie i sprawozdania w dziele Józefa Supińskiego: Myśl fizyologii powszechnej. — Koresp. z Poznania (w Codz. Gaz.) przedstawia nam smutny obraz walki tej krainy z Niemczyzną spiskującą na zagładę polskiego żywiołu.

W korespondencyach zagranicznych pzzeważa dziś sprawa Garibaldego. Jego wyprawa do Sycylii, jego charakterystyka, życie, polityka rządów turyńskiego, francuzkiego i angielskiego w kwestyi tej wyprawy stanowią główną ich treść. Osobną w tej rubryce kategoryę stanowią Listy Włoskie drukowane w odcisku Gazety Codziennej. Odznaczają się one pięknością pióra, i są raczej spostrzeżeniami nad obyczajami, literaturą i zwyczajami dzisiejszych Włoch. Przytaczamy z tych listów ustęp charakteryzujący dzisiejszy stan umysłów we Florencyi: „Nie jestem entuzyastą, pisze autor, i dusza ma „od dawna na wykrzykniku hipogryfować" przestała; niezabudką ani bławatkiem nie dam się wyprowadzić w pole ułudy, a wiek i pewna znajomość dziejów użyczyły mi tego doświadczenia, które, jeśli nie od ludzkiego jęku to od gminnych oklasków jest w istocie ową „bawełną w uchu na jaką się zalił nasz Juliusz: a wszakże trudno mi czasem pozostać zimnym widzem wśród scen tak pełnych zapału i życia; gdy jak teraz właśnie pod mojem oknem, naprzeciw tego Ponte-Vecchio po którym stąpał Alighieri i Buonarotti, albo tam na placu gdzie zgorzał Savonarola lub marmurowe swe stosy dźwigał Arnolfo da Lappo rozlega się ten ulubiony przez Florentczyków teraz chór: E i Tedeschi sono partiti!" Nazywa on chór ten prawdziwie pindarowym dytyrambem wesela, uciechy, szału — tu, twierdzi, poznać można dopiero owę sławną furia italiana.

Pomimo tego zarzuca on Toskańczykom zniewieściałość i niewdzięczność względem Francuzów, którzy się tak znacznie przyczynili do wypędzenia tedesków. Popiera to zdanie swoje słowami „starego Nicolo Tomasco, wielkiego pisarza, którego imię historya zawsze wymieni razem z Maninem: — O, my zawiele święcimy obchodów, a za mało się zaprawiamy do boju, za wiele rozdajemy wieńców, za mało bagnetów — a tych wieńców nie dajemy nawet tym, co na nie najwięcej zasłużyli: żołnierzom francuskim. — Tak się żalił stary, ślepy Tomasco, który tu żyje na ustroniu, od wszystkiego się usuwa, ostre nie raz wyrzuty robi nowemu rządowi, i do tego rządu z jedyną tylko dotąd udał się prośba — z prośbą, aby na konserwatora sławnego tutejszego zbioru numizmatów, powołał autora Xiąg Bibliograficznych.

Do charakterystyki Garibaldego zawiera gazeta Codzienna kilka ciekawych rysów. Korespondent z Genuy podpisujący się *Nemo* znający go osobiście, opisuje go następnie:

„Jest średniego wzrostu, barczysty i silny, z bujnemi włosami trochę rudawemi, a dziś troszeczkę szpakowatemi, tak samo i broda. Stąpa mocnym i poważnym krokiem, ma ruchy marynarza, równie jak twarz i mowę. Ubiera się zapinając po szyję, w kapeluszu z szerokiemi brzegami, tak zwanym kalabryjskim i szerokich spodniach. Ruch miejski nudzi go i mięsza, lubi góry ze staremi drzewami, zawsze zielonemi, widok otwartego nieba i dalekiego morza. Ma nos prosty prawie wertykalny, wzrok bystry i razem miły. Często pod wąsem porusza usta do naturalnego i ujmującego uśmiechu. W rozmowie jest prostym i to co mówi z pewnością twierdzi, krótko i węzłowato chwali lub gani; lecz porusza się mocno i wymownym się staje gdy jest mowa o Włoszech, o śmiałych przedsięwzięciach a nawet podstępnych aby ująć (agguantare, ulubione jego słowo) i zwyciężyć nieprzyjaciela. Jego wielką zaletą jest prawość, waleczność rycerska w wojnie, lubi jednakże okrzyki ludu. Pogardza dumnie pieniądzmi i wygodami. Zarozumiały w swym rozsądku nie lubi rad, ale ustępuje gdy mu się wystawi po przyjacielsku, że tego dobro kraju wymaga. Ma wiarę i ufność w karności wypływającej raczej z miłości ojczyzny, niżeli w surowości rozkazów. Trudno-by było Garibaldego w dowództwie zastąpić, ma bowiem tak popularne imię we Włoszech, Europie i południowej Ameryce, jak nikt za dni naszych i jego imieniowi winni Włosi, z 10.000 ich z różnych prowincyi niewielkiego wówczas kraju, zapisało się dobrowolnie pod chorągiew strzelców alpejskich. Lecz nie tyle ma zdolności do formowania pułków, ile do prowadzenia ich już uszykowanych do boju; powiększenia ich moralnej siły o stokroć, przez odgłos swego imienia; napadnięcia z nienacka nieprzyjaciela — pobicia go nim jeszcze z omamienia wyjść zdołał i cofnięcia się po bezdrożach i wprost przeciwnej drodze — gdy nieprzyjaciel zebrawssy siły pewnym był że go zdoła otoczyć i zabrać“.

Rocznice historyczne.

13 czerwca 1611 r. — Zdobycie Smoleńska.

Dziwny zaiste obraz dziejów naszych wystawia okres panowania Zygmunta III. Jak bowiem z jednej strony owiewa cały przeciąg dziejów tych smętne poczucie upadku w rozprzęgającem się życiu narodowem, tak przerywają je świetne chwile pełne sławy, jasne objawy ogromnej potęgi narodu, utwierdzające nas w mniemaniu, że ówczesny wahający się stan narodu żelazną dłonią w pewien kierunek wdrożony, mógłby był posłużyć za podstawę nowego okresu najświetniejszej przyszłości Polski.

Do najsilniejszych objawów wspaniałej wielkości i siły ówczesnej ojczyzny naszej zaliczamy zdobycie Smoleńska. Wątek owej wyprawy moskiewskiej sięga samego początku XVII wieku, czasu pierwszej wyprawy Polaków w wspaniałomyślnej obronie uciśnionego Dymitra, znanego w historyi pod mianem pierwszego Samozwańca. Krwią zapłacone wspomożenie carewicza przyszło Polsce pomścić również krwawo, przyszło i królowi Zygmuntowi również bezwzględnie upomnieć się praw swych, upomnieć się o wydartą własność dziadowską. Na tej więc podstawie podjęto jeszcze w roku 1609 wyprawę moskiewską. W skutek dziwnego prowadzenia całej wyprawy przeciągnęła się wojna blisko do dwudziestu miesięcy, i pomimo świetnych tryumfów Stanisława Żółkiewskiego, hetmana wielkiego koronnego, dolegały coraz nowsze a dotkliwsze straty. Ogólne znużenie i niechęć, aż nazbyt głośno objawiające się, zmniejszały ufność w dalsze powodzenie. Śród takich okoliczności przedsięwziął Zygmunt III stanowcze pokuszenie się o zamek smoleński i wyznaczył ku temu dzień poniedziałkowy 13go czerwca roku 1611.

W niedzielę 12 Czerwca o zmierzchu — który tam w tej porze około północy zwykł następować — postąpiły oddziały polskie na wyznaczone sobie stanowiska. Kasztelan kamieniecki Jakób Potocki, po śmierci brata Jana hetmana, głównym wodzem przez króla mianowany, zajął z Kozakami stanowisko u wschodniej strony Smoleńska od Bułchowskiego monasteru, niżej abramowskiej bramy. Od północy na brzegu Dniepru, podle warownej bramy hryłosowskiej, znajdował się marszałek wielkiego księstwa Litewskiego Dorohostajski wespół z rycerzem dziwnej walecznności i szczególniejszego animuszu, Bartłomiejem Nowodworskim, kawalerem Maltańskim. Naprzeciw kasztelana kamienieckiego od zachodu stanął wprost warownych szańców starosta feliński, Stefan Potocki z swojemi rotami i nieopodal zaś od niego w południowo-zachodniej stronie sprawiała się niemiecka piechota Jana Wajhera starosty puckiego. Na półtory godziny przede dniem rozpoczęto atak. Pierwszy kasztelan kamieniecki wdrapał się po drabinach ze swoją spieszoną drużyną na mury. Dzięki nieopatrzności Moskali zdołali Polacy niepostrzeżeni w znacznej liczbie zgromadzić się na murach i zająć niektóre baszty. Dopiero przy zdobywaniu abramowskiej bramy stawili Moskale słaby opór, a łatwo rozgromieni, ponieśli srogi popłoch w głąb twierdzy. W tymże czasie piechota niemiecka Wejhera ukazała się od zachodu za pomocą drabin na murach. Tak niespodziewanie napadnięci oblężeńcy rzucili się wnet z całem wysileniem do obrony, rażąc z dołu naszych, gdy nowy i najskuteczniejszy atak pomieszał ich do reszty i przychylił zwycięztwo na stronę Polaków.

Było to bohaterskie przedsięwzięcie pomienionego rycerza Bartłomieja Nowodworskiego. Stojąc z północnej strony miasta na przeciw ogromnego, gdyż do czterech sążni szerokiego muru, podjął się Nowodworski z narażeniem własnego życia utorować drogę rycerstwu. Wziąwszy petardę wsunął ją rynsztokiem z twierdzy do Dniepru prowadzącym pod mur, i własnoręcznie zapaliwszy wysadził go na kilka łokci wzdłuż w powietrze. Uczynionym wyłomem wszedł marszałek Dorohostajski przy odgłosie trąb i bębnów do środka fortecy, ścigając przerażoną załogę, gdy starosta feliński przebywszy przekop ukazał się na wysokich wałach. Okropna rzeź powstała w mieście. Moskale

widząc straconą nadzieję wszelkiego odporu, wzniecili sami srogi ogień. Tak spłonęła najpierw Przełonowa wieża z siedmiu pomniejszemi basztami. Wkrótce wybuchł ogień w carskiej bramie. Naprożno rozkazywał marszałek Dorohostajski gasić ogień, napróżno przeznaczał nawet ratującym znaczną nagrodę; groźny żywioł rozlewał się coraz szerszemi potokami, ogarnął nawet dom Metropolity i cerkiew Soborną. Oba te byłymiejsca najgłówniejszym składem dostatków i bogactw jako i schronieniem najznaczniejszej części ludności. Prócz tego znajdował się w pobliżu Sobornej cerkwi wielki skład prochu. Wkrótce dotarł i tam ogień. Śród przerażającego grzmotu wyleciała w powietrze część twierdzy a z nią i połowa prześlicznej cerkwi, ozdobionej wyszukanym przepychem wschodnim. Miejsce walki okryte dymem i gruzami zaległy rozpaczliwe jęki, groźny okrzyk boju i odgłos powszechnego zniszczenia. Polacy otrzymali zupełne zwycięztwo. Między jeńcami znajdowali się archiepiskop Herman Sergej, Wojewoda smoleński Korsaków i wiele innych znakomitych bojarów. Tylko wódz naczelny Sein, zamknąwszy się z małym pocztem na jednej baszcie, mężnie stawił czoło. Wkrótce jednak oddał i ten broń swoję kasztelanowi kamienieckiemu, polecając wspaniałomyślności polskiej prócz własnej osoby, żonę i jedynego syna małe jeszcze pachole. A w stosunku do tych ogromnych strat Moskali podają nam spółcześni pisarze nadzwyczaj mały uszczerbek w siłach Polaków, bo do kilkudziesięciu osób tylko wynoszący.

Nazajutrz po walce zaczął zaraz Zygmunt III uroczysty obchód świetnego zwycięztwa, które Polakom otwierało drogę na wschód, aby tam ponieśli sztandar wyższej oświaty i wpływu narodowego. Nieszczęściem zaczęto od tryumfów i — skończono na nich. A na kartach dziejów zapisano obok zwycięztwa smutne ubolewanie, że Zygmuntowi III brakło żelaznego ramienia Chrobrego. *B. K.*

Różności.

— Po raz czwarty wystąpiła w naszem mieście panna Helena Zawiszanka dnia 8 Czerwca. Odśpiewała scenę, cavatinę i aryę z opery „Prorok" w języku polskim, scenę i cavatinę z opery „Domino nero" p. Lauro Rossi, a nakoniec mazurka pożegnalnego, który był skomponował dla panny Holossy książe Lubomirski.

Scena z „Proroka" nadzwyczajne sprawiła wrażenie. Znakomita nasza artystka odspiewała ją z prawdziwem uczuciem matki, której się wyparł syn ukochany, która się go wyparła dla wyższych szczytniejszych celów. Ileż to boleści w tej rezygnacyi macierzyńskiej! Z jakąż prawdą oddała to panna Zawiszanka! — Nie mniejsze wrażenie zrobił wyimek z „domino nero". Artystka zadziwiła nas obszernością skali swego głosu i delikatnem cieniowaniem tonów charakterystycznych. W „mazurku pożegnalnym" wprowadziła nas znakomita nasza rodaczka w największy entuzyazm. Polska nasza nuta chwyta ją za serce, a panna Zawiszanka jest wtedy tak serdeczną, tak szczero-złotą Polką naszą! Jak przyjemnie było nam słyszeć z jej ust w tym mazurku *„O ja z wami tak szczęśliwa — o was serce śni!"* . . . . Przy słowach ostatniej zwrotki: *„Wy będziecie braćmi memi — a ja siostrą wam!"* zasypano śpiewaczkę wieńcami kwiatów.

Sądzimy, że ten mazurek pożegnalny nie będzie ostatnim.

— Przegląd Poznański zamieścił nadesłaną mu z Paryża „Odezwę o składkę na oddanie czci pośmiertnej ś. p. Karolowi Sieńkiewiczowi," którą powtarzamy: Emigracya polska poniosła stratę ciężką i niepowetowaną: Karol Sieńkiewicz umarł 7. Lutego.

Znamienity pisarz, badacz i znawca niepospolity rzeczy krajowych, kochał on Polskę gorąco, statecznie, miłością synowską, bez troski o rozgłos własnego imienia, o uznanie i nagrody. Był to wierny a cichy sługa Ojczyzny, Polak, Chrześcianin. Wiele prac dokonało się na tułactwie, które rzeczy publicznej usługę tułactwu, zaszczyt przyniosły, a mało kto wiedział, że znaczna część z nich winna była Sieńkiewiczowi swój początek i wykonanie.

Pamięć tyle zasłużonego męża godzi się i należy uczcić, i ku uczczeniu przekazać naszym następcom. To też zaledwo ta myśl powstała w gronie najbliższych zmarłego znajomych, wnet głośne i serdeczne różnych odcieni wychodźtwa poparcie, dało jej cechę publicznego życzenia.

Idąc za tą wskazówką podpisani przyjaciele zmarłego, zawiązali się w osobną w tym celu komisyę, i otwierają składkę: Na ufundowanie mszy ś. wieczystej za duszę ś. p. Sieńkiewicza; na wzniesienie mu skromnego grobowca na cmentarzu w Montmorency, na wydanie w miarę możności pism pozostałych zmarłego. Zebrane ofiary i wszelkie szczegóły o ich użyciu będą ogłoszone drukiem. Prezes: Zaleski Bohdan, wiceprezes: Tomaszewski Józef. Następują podpisy członków, kasyera, sekretarza, kolektorów uproszonych w Paryżu i innych miastach Francyi, w Anglii, Genewie, Konstantynopolu, Rzymie i wielkiem ks. Poznańskiem.

— Eustachego Marylskiego dzieło: „Pomniki Polaków na cmentarzach zagranicznych" wyszło z pod prasy. Obejmuje spis wszystkich rodaków spoczywających na cmentarzu katolickim drezdeńskim, a zamyka je pomnik grobowy księcia Józefa Poniatowskiego nad Elsterą. W celu otrzymania rysunków z pomników znajdujących się w Ameryce zgłosił się do rzeźbiarza Henryka Dmochowskiego zamieszkałego w Wasyngthonie w Ameryce. Ten odpisał panu Marylskiemu z Washingthonu dnia 28 Marca 1860 że pojedzie umyślnie do Savannah, by się postarać o dokładny „cieniorys" (fotograf) pomnika wystawionego przez gminę tego miasta Kazimierzowi Puławskiemu. W West-Poiot jest pomnik wystawiony Kościuszce przez uczniów tamecznej szkoły wojskowej. Kolosalny biust Kazimierza Puławskiego, roboty p. Henryka Dmochowskiego będzie stał wkrótce w Kapitolu.

Od redakcyi.

Z początkiem nowego kwartału, od Lipca, gdy się skończy powieść Zygmunta Kaczkowskiego, wychodzić będzie „KÓŁKO RODZINNE" co tygodnia w trzech arkuszach. Czyniąc zadość wymaganiom czytelników naszych, zmienimy zewnętrzną postać dziennika. Powieść dawać będziemy co tygodnia w dwóch osobnych arkuszach formatu książki in 8vo. Przy końcu każdej powieści dodamy kartę tytułową i okładkę. Artykuły literackie mieścić się będą w osobnym arkuszu. Tym sposobem Abonenci „Kółka rodzinnego" będą mieli z końcem roku SZEŚĆ TOMÓW POWIEŚCI w osobnych książkach, prócz tego 52 arkuszy artykułów literackich.

Mimoto cena prenumeraty nie podwyższa się.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.